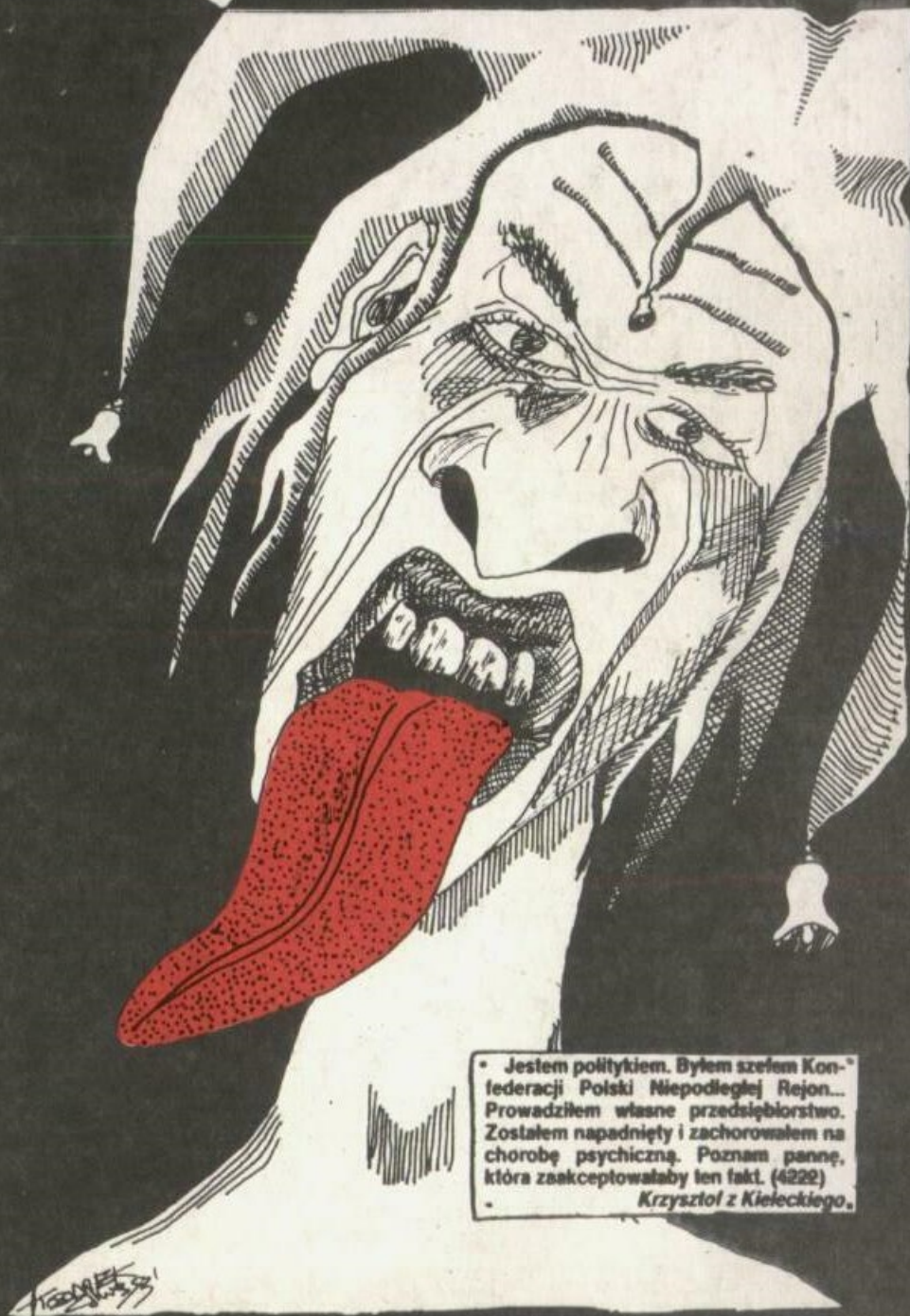


Mata Ulicznica

MAGAZYN
SZTUCZNEJ SZTUKI
LUBLI
© 1980
© 1981
© 1982
© 1983
© 1984
© 1985
© 1986
© 1987
© 1988
© 1989
© 1990
© 1991
© 1992
© 1993
© 1994
© 1995
© 1996
© 1997
© 1998
© 1999
© 2000
© 2001
© 2002
© 2003
© 2004
© 2005
© 2006
© 2007
© 2008
© 2009
© 2010
© 2011
© 2012
© 2013
© 2014
© 2015
© 2016
© 2017
© 2018
© 2019
© 2020
© 2021
© 2022
© 2023
© 2024
© 2025



• Jestem politykiem. Byłem szefem Konfederacji Polski Niepodległej Rejon... Prowadziłem własne przedsiębiorstwo. Zostałem napadnięty i zachorowałem na chorobę psychiczną. Poznam pannę, która zaakceptowałaby ten fakt. (4222)

• Krzysztof z Kieleckiego.



DZIEŃ DOBRY!

Późna wiosna wybuchła feerią zielono - kwiatowo - białych barw, a wraz z nią skłania ku Wam swoje ciało MAŁA ULICZNICA. I jest to już dziewiąty raz. Ten numer miał być poświęcony pornografii, wzbogaconej makabrą; tak jednak nie jest, chociaż nikt echa tego zamysłu dają się zauważyć. Postanowiliśmy obejść się bez zbędnych etykietek - numer jest taki, jaki jest. Jak zwykle króluje nieśmiertelne NEVER ENDING STORY. Niestety nie ma zapowiadanych poprzednio artykułów o kominiarzach, dalszego ciągu baśni o początkach subkultur, GALERII. Ale za to mnóstwo komiksów /czad!/, nowa strona - Notki, plotki i plotki, na której będziemy komentować bieżące wydarzenia. Kilku naszych przyjaciół z Polski postanowiło wspomóc nas pisemnie; i tak możecie sobie poczytać zgrabne kawałki Jasia Sobczaka, Mychy i Przemka, Bartka Muszyńskiego oraz ekipy EKSKLUZIWA. Graficznie jak zwykle dominuje Tomek, wspomagany przez Violę, Kalna Maya, Don Francisco Goyę i Piotra Storoniana.

Powoli zbliżamy się do wydania 10 numeru M. U.

Z tej okazji planujemy święto. Duże. Zapraszamy wszystkich przyjaciół i nie tylko, do naszego miasta, najprawdopodobniej na koniec września.

A już zupełnie na zakończenie wypadają zęby!

Pozdrawiamy

KONTAKT:

JAREK GÓRNY
GŁOWACKIEGO 28A\52
20 - 060 LUBLIN

TOMEK ZDUNEK
KRUCZKOWSKIEGO 20\76
20 - 468 LUBLIN

Z PRZYCYN OD NAS NIEZALEŻNYCH, JEDEN Z POPRZEDNICH ADRESÓW KONTAKTOWYCH, A MIANOWICIE - MARIUSZA STASIKA - JEST NIEAKTUALNY.

WIELKIE DZIĘKI DLA WSZYSTKICH, KTÓRZY PRZYCZYNILI SIĘ DO POWSTANIA TEGO NUMERU!!!!!!!



NEVER ENDING STORY PART 10

... kroczyliśmy strumieniem, brodząc po kostki w wodzie. Wilgoć nieźle dawała nam się we znaki. Szliśmy bardzo powoli, wyczuwając po zapachu Królika, że to już niedługo - Zet westchnął, podrapał się po głowie, nabrał głęboko powietrza i postanowił skończyć myśl, ale Inna, równie niedościgła, za to bardziej makabryczna, zawitała do głowy Wódza i z całą stanowczością zaczęła domagać się natychmiastowej werbalizacji.

- Czy jest jeszcze wino? - zapytał w języku znaków, bowiem przypomniawszy sobie że, było nie było, jest w końcu Indianinem i do czegoś go to zobowiązuje.

- Zostało tylko trochę chińskiej wódki, ale jest ciepłutka - odparła tajemnicza B. D.

Zet widząc, że jak zwykle jego opowieść odchodzi w zapomnienie, napił się wódki wprost z butelki i postanowił przeczekać. W tym samym czasie (niektóre rzeczy dzieją się błyskawicznie) Wódz z Królikiem

wyszperali Konstancyję i udali się do pobliskiego sklepu po zakupy.

- Co zrobić aby zabić czas? - zapytała nagle tajemnicza B. D., ale nie doczekała się odpowiedzi, ponieważ zabrzmiał dzwonek drzwiowy. Wszyscy padli na podłogę porażeni jego dźwiękiem, a Zet jako najrozsądniejszy podczołgał się do wejścia, aby otworzyć. Otworzył i zamarł. W drzwiach stał osobnik, niewątpliwie wszystkim znany, ale przez nikogo nie lubiany.

- HEY - rzucił - Byłem w okolicy i pomyślałem, że warto się przywitać. A poza tym jest niezły film w TV i nie chciałbym go stracić - rzucając te słowa delikatnie odsunął Zeta, który znalazł się w kuchni, w kuble na śmiecie i wszedł do pokoju, gdzie od razu zajął największy fotel, nogi kładąc na stole - Nie macie czegoś do picia?

Nikt mu nie odpowiedział, ponieważ wszyscy rozwarli szeroko oczy, wystawili języki i wpatrywali się w niego z rosnącym przerażeniem, przemieszanym ze

strachem. Jedna Ewa, z właściwą sobie delikatnością, zapytała gościa:

- Mam nadzieję, że stosujesz się do zasad bezpiecznego sexu?

Osobnik w fotelu spojrzał na nią zaskoczony, poczerwieniał i zaczął nerwowo rozglądać się na boki.

- No... tego, właśnie... - bełkotał przypatrując się Ewie, bezceremonialnie sadowiącej się na jego kolanach - Ależ my się nie znamy...

- Nie bądź taki staroświecki - przerwała ona - Żyjemy w dobie lotów do gwiazd, TV kablowej, coca-coll i gumy do żucia bez cukru. O jakim filmie mówiłeś?

- No, ma być jakiś niezły hiszpański film o terrorystach. Atmosfera w pokoju rozluźniła się nieco. Po chwili w drzwiach pojawił się Zet, który wygramolił się z kosza na śmiecie i spojrzał na przybysza, a jego wzrok nie wróżył niczego.

- Wydaje mi się, że zabawiłeś u nas już wyjątkowo długo i powinienesz wyjść...

- Zaczyna się! - krzyknęła Ewa, bo rzeczywiście się zaczynało. Wszyscy mimowolnie zerknęli na telewizor i pozostali tak około półtorej godziny. Tylko od czasu do czasu, krążyła z rąk do rąk, wielka, kraclasta chustka do nosa z monogramem, wchłaniająca obficie lejące się łzy. Tuż po zakończeniu projekcji gość uwolnił się spod ciężaru Ewy i

stanął przed Zetem.

- Moj drogi, prawdziwa sztuka czyni cuda; wszedłem do was jako gość, a chcę zostać jako przyjaciel. Zapomnijmy o dawnych nieporozumieniach i podajmy sobie dłonie w geście pojednania, jak mawiają w wielkich, ponurych budynkach, prawie każdego dnia, oznaczonego na czerwono w kalendarzu. Wszyskich ogarnęło zbiorowe osłupienie. Konstantyn, widząc oczyma pełnymi snu, prawdopodobny przebieg wypadków, krzyknął: - Zet, zastanów się, co chcesz zrobić...

- Mamy wino - powiedział Królik, który zjawił się w międzyczasie. Spojrzał na przybysza i wykrzyknął:

- Witaj, dawno nic o tobie nie słyszeliśmy! Gdzie się podziewałeś; musisz mi to dokładnie opowiedzieć. Ale, ale, najpierw napijemy się wina. Wodzu gdzie to wino? Niestety Wodza nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

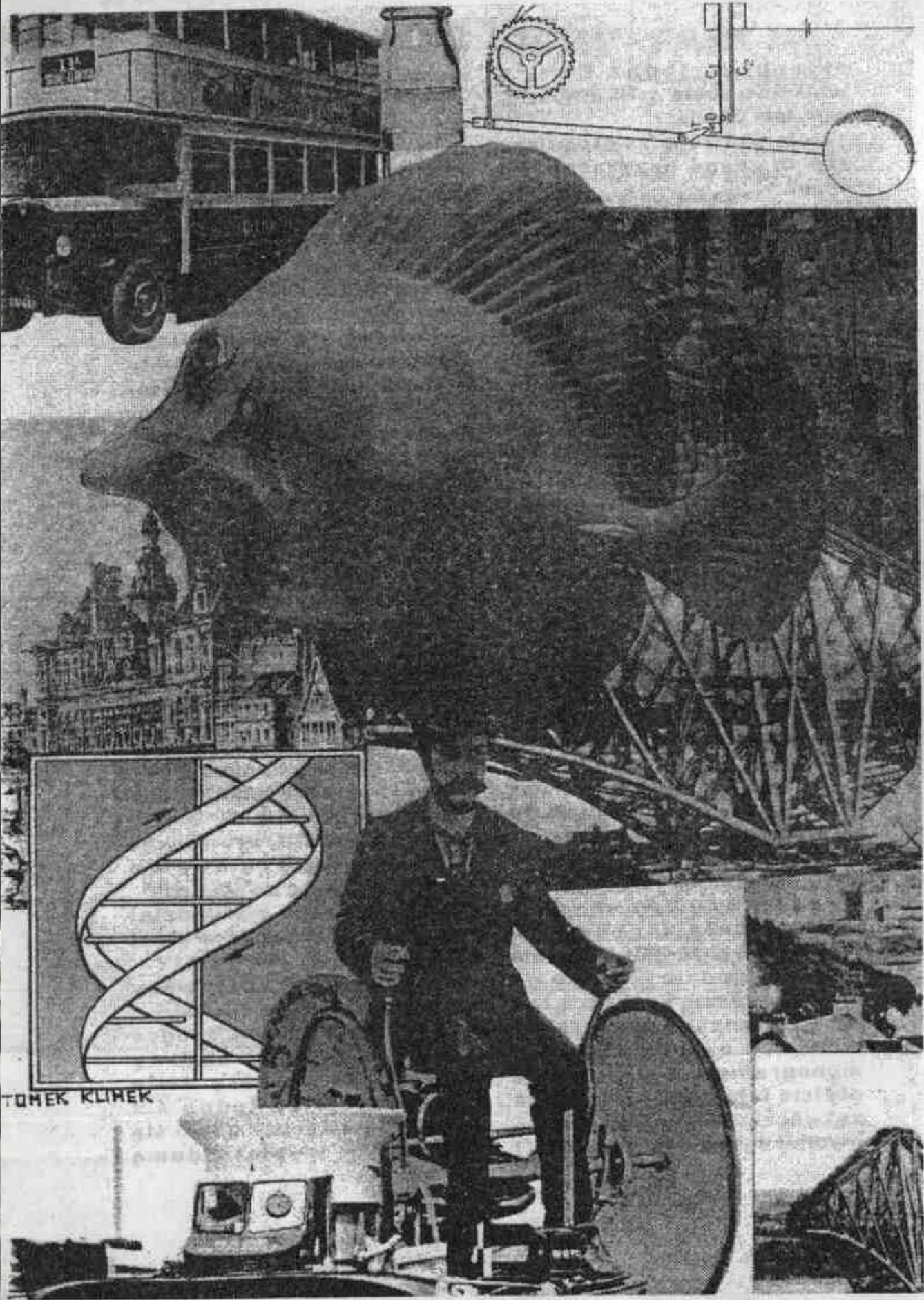
- Musiałem go zgubić po drodze, zaraz wracam.

Wroczył po chwili, prowadząc ze sobą Wodza, ledwo trzymającego się na nogach.

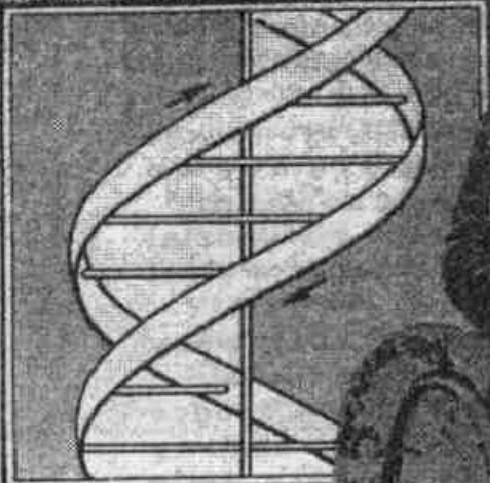
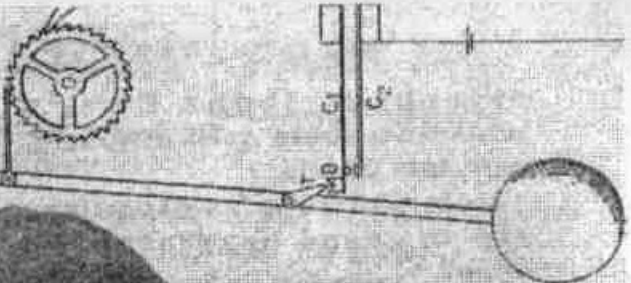
- Już jesteśmy - powiedział zasapany, trzymając w dłoni butelkę wina.

- Tylko jedna? - Pierwszy wydawał się niepokieszony.

- Były trzy, ale po drodze zdarzył się nam straszliwy wypadek i niestety dwie rozbiły się. Tę jedną / z narażeniem życia / udało się uratować - wypiął z dumą



TEL 5100



TOMEK KLIMEK

piers.

- To dlaczego Wódz jest taki pijany? - nie ustępował Pierwszy.

- Nie jestem. . . pijaaany. . . jaa tylko. . .

- On jest poważnie zakochany

- zaczął tłumaczyć Królik -

Wpadła mu w oko ekspedientka ze sklepu, sprzedająca mięso. Musiałem siłą odrywać go od lady; chciałem się od razu oświadczyć.

- No, no - nawet gość, w tych krótkich, acz głębokich słowach, starał się wyrazić swoje uznanie. Jednak wybrał nieodpowiedni moment, dzięki temu bowiem, stał się znów obiektem zainteresowania. Wszyscy utkwili w nim groźne spojrzenie, bezgłośnie, ale jednomyślnie na wykonawcę swej woli wybierając Zeta.

- Tak więc drogi G.T. - zwrócił się ten do gościa - SPADAJ STĄD!

- Zaraz, zaraz, to ja byłem kiedyś spadochroniarzem i wydaje - wtracił nagle Wódz - i wydaje mi się, że to ja powinienem. . . - nie dokończył, ponieważ zasnął na stojąco.

- Ależ Zet, zapomnijmy o przeszłości - spróbował jeszcze raz G.T. - Powiem prawdę: nie jestem już terrorystą - zabrzmiało to naprawdę żałośnie - Tyle razem przeżyliśmy, a poza tym chciałbym posłuchać twojej słynnej opowieści. A propos, nie wiem czy słyszałeś, Amerykanie chcą z niej zrobić film. Mam kontakty

w filmowym światku, mogłbym wam pomóc wynegocjować najlepszy kontrakt - zapadła cisza - Ja naprawdę chce się zmienić. Dajcie mi szansę!

- O kurcze! - wyrwało się Królikowi, który już oczyma duszy, widział siebie w otoczeniu hollywoodskich sex - piękności - Zet, przecież zawsze chcieliśmy pojechać do Hollywood, coż nam szkodzi spróbować.

- Zróbmy tak - zaproponował Pierwszy - Ja jako człowiek bywały, wiem na ten temat co nieco. Niech G.T. Idzie do kibla, a my naradzimy się.

Propozycje przyjęto. Wszyscy zasiedli dookoła wielkiego dębowego stołu, wyciągniętego z szafy i rozpoczęły się burzliwe obrady.

- Komu jeszcze wina?

- Dlaczego Konstantyn ma więcej ode mnie? - zainteresowała się B.D.

- Wszyscy macie po równo, Królik nie pij z brzelki!

- Ja chcę jeszcze - pisał Pikuś.

- Ty jesteś nieletni; ciesz się, że w ogóle dostałeś.

- Ja nieletni?!?!?!? Może tylko tak wyglądam, ale gołe fakty i prawdziwa prawda mówią prawdę!

- Jaką? - zapytał Wódz, rozwierając sobie na chwilę palcami, powiekę prawego oka. Dyskutowano tak jeszcze trochę czasu, aż do momentu, kiedy Królik wyszedł na chwilę, a po powrocie oznajmił, że jakiś osobnik

okupuje łazienkę. Wtedy Zet przypomniał sobie o G.T. i zaczęły się ustalenia. Po głosowaniu, odbywającym się w trzech turach, dzięki sfalszowaniu wyników, zdecydowano, że G.T. może pozostać na 7 dniowy okres próbny.

- A co zrobimy z filmem? - zapytała tajemnicza B.D.

- Myślę, że powinien to być niskobudżetowy film artystyczny - zasugerował Zet - Ta forma będzie się doskonale komponować z klimatem mojej opowieści.

- Nie, nie, nie! Tylko kino akcji, z głównym bohaterem zniewalającym serca kobiet. Nawet wiem, kto mogłby zagrać tytułową rolę - sprzeciwił się Królik, ale jego zdanie nie znalazło uznania u reszty. Każdy opłował za czymś innym. Wódz oczywiście chciał przenieść realla na Dziki Zachód, Ewa proponowała erotyk, B.D. melodramat itd. Zet widząc, że w tej sytuacji potrzebne są radykalne działania, po raz kolejny rozpoczął opowiadanie swojej przerwanej historii.

- Jak niewątpliwie pamiętacie opuszczając Lublin, wybraliśmy się aby zobaczyć n i c. Miał to być ostatni etap naszej podróży, ale czy tak się stało na razie wam nie zdradzę. W moim środowisku zdrada nie popłaca, każdy kto się jej dopuści z całą pewnością zostanie pożarty przez rannego sępa, w czasie drogi do domu. Ale wracając do tematu, oczywiście jak możecie się domyślić, nigdy nie dotarliśmy do miejsca przeznaczenia, ponieważ nasz przewodnik został pożarty przez rannego sępa. Znaleźliśmy się w nieznanym miejscu,

praktycznie bez środków do życia, na poziomie do jakiego byliśmy przyzwyczajeni. Jako, że sytuacja była krytyczna, postanowiliśmy się rozdzielić, tak aby na własną rękę dostać się do Paryża. Ustaliśmy również, że ten, kto tam dotrze pierwszy, otrzyma nagrodę. Zapowiadała się emocjonującą podróż. Jak już wspominałem, rozstaliśmy się w strumieniu, rozdzielając skromne racje żywnościowe i żegnając się czule. Każdy wybrał inną trasę, taką która wydawała mu się optymalna. Królik postanowił iść lasami, Ewa wyszła na ulicę, Grzegorz gdzieś się zapodział, a ja po prostu wsiadłem do super szybkiej podzi, czekającej na mnie w zakolu strumienia. Po nudnej podróży przeplatanej szampanem, pięknymi kobietami i podobnymi bzdurami, znalazłem się u stóp wieży Eiffela. I tam wszystko się zaczęło.



A zaczęło się z pozoru zupełnie niewinnie. Na placyku u zbiegu ulic La Fayette i St. Georges, ze znajomymi kłozardami postanowiłem spędzić miło popołudnie grając w brydża. Kiedy dogrywaaliśmy właśnie szóstego robra zjawiła się policja.

- Bonjour monsieurs - rzekł officer -
- Bonjour monsieur inspecteur -
odpowiedziałem w imieniu naszej czwórki. Wtedy inspektor błyskawicznym ruchem wyciągnął policyjną pałę i dzielił mnie nią między oczy. Obudziłem się po jakimś czasie, wbrew pozorom wypoczęty i rześki jak koń o poranku. Znajdowałem się w luksusowo urządzonej celi, wyposażonej nawet w fax oraz przyrząd do prostowania

pokręconych włosów i myśli. Zacząłem się zastanawiać co się stało, ale moje rozważania przerwało niespodziewane wejście do celi znajomego inspektora. Tym razem nie był tak uprzejmy jak poprzednio. Bez słowa, bezceremonialnie zdzielił mnie pałąk pomiędzy oczy. Ocknałwszy się skonstatowałem, że leże w miejscu, w którym graliśmy w karty, a obok mnie znajdują się dwie puste butelki po CHATEAUX BORDEAUX. Niestety molch współtowarzyszy nie było. Aby nie psuć sobie nastroju, dokończyłem ostatniego robra, grając z trzema dziadkami. Po emocjonującej licytacji, pokazowo rozegrałem szlemika w pik, zgarnawszy całą pulę (graliśmy na francuskie pieniądze), postanowiłem oddalić się. Ale przypomniałem sobie o urodzinach tajemniczej B.D., wszedłem do pobliskiej budki telefonicznej i wykręciłem numer do domu, aby złożyć jej życzenia. I to mnie uratowało. Nie rzucająca się w oczy jaskrawo-zielona limuzyna zatrzymała się naprzeciw miejsca, gdzie siedziałem przed chwilą; z samochodu wychyliło się sześciu zamaskowanych mężczyzn i zaczęło strzelać z szybkostrzelnej broni automatycznej w kierunku (zapomniałem dodać, że po moim odejściu, natychmiast zasiedli tam trzej inni ludzie pragnący znaleźć choćby kroplę w butelkach, które zostałem) wiadomym, pozostawiając po chwili tylko krwawy ślad. I zaraz ich nie było, odlecieli niczym skowronki. Ogarnęło mnie przerażenie. Niewątpliwie celem miałem być ja. Najpierw policja, teraz gangsterzy (w Paryżu gangsterzy jeżdżą takimi autami), chyba wplątałem się w jakąś aferę. Postanowiłem zmienić miejsce pobytu. Wsiadłem do metra i ruszyłem do mego hotelu. Oczywiście i tutaj nie obyło się bez kłopotów. Nie mając biletu, zmuszony byłem uczestniczyć w krótkiej bójce z kontrolerami, niestety uległem przeważającym siłom i zostałem wyrzucony na bruk. Na szczęście było to nieopodal mego hotelu czyli Gare du Nord. Niestety tam już czekali na mnie. Tym razem wojsko - komandosi z francuskiej Legii Cudzoziemskiej, których dźonie

z Czadu.

- Bonjour monsieur - rzekł murzyński generał w futrzanym mundurze, zapinanym na lewą stronę.

Nauczony doświadczeniem postanowiłem nie odpowiadać, grając na zwłokę. Generał był człowiekiem bystrym, bywałym i szczwanym graczem giełdowym na giełdzie w Nepalu, toteż zorientował się w mig (25 - 3 000 km/h) w mojej grze i rozpoczęliśmy pojedynek - rolę arbitra przejęła Stanisława Ryster - który irwałby niewiedomo ile, gdyby nie nagłe pojawienie się ekipy filmowej. Oczywiście byli to wszędobytscy Amerykanie, kręcący katastroficzny film o zagładzie Paryża, dokonanej przez szesnastopalczastych, czerwonych kosmitów z planety X. Aby realizm był całkowity, postanowili wysadzić mój dworzec. Jednak dla zwiększenia efektu, robili to po kawałku. Pierwszy wybuch nastąpił w tak nieszczęśliwym miejscu, że generał i jego ludzie zostali przysypani. Nie czekając na dalszy rozwój, tego niezłe zapowiadającego się filmu, wyniosłem się czym prędzej. Najlepszym schronieniem wydała mi się katedra Notre Dame. Kiedy znalazłem się tam, poczułem wielkie rozczarowanie. Porównując ją z tym, co widziałem w Lublinie, katedra wydała mi się jakaś taka mdła, bez wyrazu. W chwilę po tym moje samopoczucie poprawiło się. Ujrzałem bowiem coś, a może raczej kogoś, kogo widok sprawił, że uśmiech zagościł na mojej twarzy i jeszcze długo nie chciałem z niej zejść, przez co miałem masę kłopotów. Był to Królik, śpiący sobie w najlepsze, w pierwszej ławce przed ołtarzem, a jego chrapanie roznosiło się echem dookoła. Podszedłem do niego i obudziłem delikatnie, zrzucając kopniakiem z ławki.

- Wodzu, ja cię... - wykrzyknął, ale natychmiast spostrzegł pomyłkę - Ach, to ty Zet.

- Posłuchaj, nie mamy czasu - zacząłem mu wyjaśniać sytuację w jakiej się znalazłem.

- Uspokój się - rzekł Królik - Zaraz coś wymyślimy - ale stało się to awykonalne w tym miejscu, ponieważ znajomi filmowcy zajęli się właśnie

wyburzaniem katedry. Staneliśmy z boku, przypatrując się zabiegom czynionym przez Amerykanów. Wtedy podszedł do nas jeden z reżyserów (film był wielkim dziełem, więc było ich trzech) i zaczął, ramana francuszczyzną, rozmowę.

- Dzień dobry! Czy nie zechcieliby panowie zagrać w naszym filmie; potrzebujemy więcej aktorów. Pan - wskazał na Królika - mógłby zagrać jednego z głównych kosmitów, nawet bez charakteryzacji, a pan, cóż - spojrzał na mnie - Czy zawsze ma pan na twarzy ten głupi uśmiech? Nieważne zresztą, pan zagra podróżnika niespełna rozumu, poszukiwanego przez policję, gangsterów, wojsko, Interpol, FBI, kosmitów, wywiad papieża i organizację ornitologiczną, OK?

- A co stanie się ze mną w finale? - zapytałem.

- W jakim finale, pan już w pierwszej scenie zostanie zmiażdżony przez 666 tonową ciężarówkę. . .

- A ja? - zapytał Królik.

- Nie mamy czasu - odrzekł reżyser - Wszyscy na plan, zaczynamy; panowie do roboty, sława czeka!

Mówiąc to popchnął nas w kierunku kamery.



C. D. N.



STORONIAK

PAWEL

Smutna dziewczyna
podaje mi szklane
zagłębiam się w nią
i gubię drogę na dnie
wielkiego akwarium
słyszę swą bezsenność
uśpioną sztucznie
na krawędzi dna
dzika bezmyślność
i chęć przetrwania
zagłaskana na śmierć
puchowymi łapkami
życzliwych i martwych
zarazem
mają dla mnie znaczenie
jakże odległe
nieznane jeszcze
dla wielu

Uwięziony
w lustrzanym odbiciu
ronię łzę w nicości
kolorze
tak brudna
i ciężka
jak sen
bez wina przed
tragiczne sceny
spłoszonej nagości ucieczki
i czary
nienawiści
i śmierć

SŁOŃCE

Promieniejący księżyc
wyrzuca z gardła
niehumanie
półżywe
żyjące

@@@

... opadasz na łóżko
choć wiesz że
sen to zły ptak
przełamujący ciemność
na krótko
a może cłchy
przyjaciel ...
... powietrzny olbrzym
unosł tony drobinek
kurzu
a pajęczyna
w narożu belek
nie wytrzyma napęcia
i rwie się na strzępy ...
... twój dom
nie daje schronienia
niewinności ...

@@@

przeklinasz czeluście
niewiedzy
twardo beznamietnie
igrasz z widmami zła
gdy
szepczesz do stworzeń
łaknących przyszłości
bez kary
nie słysząc pytania
o zdrowie

KAKO I KAKO

Bezrobotni

by TOMEK '93
XII



TO SMUTNE, TYCH DWÓCH ZMĘCZONYCH ŻYCIEM LUDZI, TO BOHATEROWIE NASZEGO DZIECIŃSTWA - KAJKO I KOKOSZ. TAK JAK I WIELU IM PODOBNYCH NIE POTRAFIŁI PRZYSTOSOWAĆ SIĘ DO WARUNKÓW JAKIE STWORZYŁA NOWA RZECZYWISTOŚĆ.



BEZ PRACY I BEZ NADZIEI CO MIESIĄC USTAWIAJĄ SIĘ W OGONKU PO ZASIEK DLA BEZROBOTNYCH.



JAK TO ZWYKLE W TAKICH SYTUACJACH BYWA, ODWRÓCILI SIĘ OD NICH WSZYSCY PRZYJACIELE. JEDYNĄ OSOBĄ, Z KTÓRĄ ŁĄCZYŁY ICH JAKIEKOLWIEK STOSUNKI BYŁA ZOCHA I BYŁY TO STOSUNKI SEXUALNE.

U ZOCHY

OCH, TO WY, MOI PIĘKNI CHŁOPCY. STĘSKNIAM SIĘ ZA WAMI.



GDY ZACZĘŁY SIĘ IGRASZKI...

CO SIĘ TAK, KURWA, GAPISZ. WŁAZ NA ZOCHĘ



ALEZ KOKOSZ, JUŻ OD DAWNA MI NIE STAJE.



TO SKOCZ DO SKLEPU PO FAJKI I RARYTASY.

7

POZA ZOCHĄ MIELI JESZCZE JEDNEGO KOLEGĘ - TANIE WINO „RARYTAS”. DZIĘKI NIEMU MOGLI ODERWAĆ SIĘ OD PONUREJ RZECZYWISTOŚCI I WĘDROWAĆ PO ŚWIECIE UŁUDY I ZAPOMNIENIA.



KONIEC

PS. RYSUJĄC TEN KOMIX NIE CHCIAŁEM Z NIKOGO DRWIĆ LUB Z KOGOKOLWIEK SIĘ NAŚMIWAĆ. CHCIAŁEM W SPOSOB MAXYMALNIE PRAWDZIWIY PRZEDSTAWIĆ TĘ KUREWSKĄ RZECZYWISTOŚĆ.

TOMEK 99

WYWIAD ZE STANEM BŁONKĄ

Jan Sobczak - Jest pan jednym z niewielu Polaków, którym się za granicą powiodło. . .

Stan Błomka - Raczej jednym z wielu, bardzo dużo znam rodaków, którzy prowadzą biznesy na takim poziomie jak ja.

JS - Jednak przyzna pan, iż więcej jest przegranych, co pomogło panu.

SB - No cóż, wyjechałem dzieckiem będąc, tak więc moją polskość zawdzięczam jedynie matce; co mi pomogło - po prostu dobre pomysły.

JS - Zatrzymajmy się jeszcze na wyjeździe, co do niego skłoniło?

SB - Ojca mego zabiło drzewo i matka została się z parą drobiazgu, bez pracy, rodziców miała już niepełniejszą młodość, głodno było tylko brat ojca co nieco pomagał ale też nie dawał rady, wymyślił że do Ameryki ruszy jak wielu z okolicznych wiosek i ruszył, po dwóch latach, ciężkie to były lata, wspominała matka, przysłał pieniądze i list żeby wszystko sprzedać i jechać. Matka nie bardzo chciała swego ojca zostawić, który od śmierci żony mocno niedomagał; on z kolei namawiał - zajmą się przecieź dobre ludzie, z głodu zdechnąć nie dadzą - ale matka ciągle nie i nie, więc jak na targ poszła jajka i ostatnią nioskę sprzedać, wziął się i obwiesił w pustym chlewicku. Po pogrzebie nie było już żadnych przeszkód, pojechaliśmy. Po przebyciu urzędu imigracyjnego, oczekiwał nas brat ojca. Tato, tato, zawołał mój młodszy brat, taki stryjo stał się podobny do naszego ojca przez te lata. I zaczęło się życie za oceanem, wcale tak od razu nie ustane różami.

JS - Zdaje się, że pańska matka nie była jeszcze starą kobietą, czy zatem udało jej się ułożyć jakoś życie, czy tylko starała się urządzić jakoś was?

SB - Wychodząc za stryja, zrobiła wszystko za jednym zamachem. A dla mojego brata, jak już mówiłem, nie było w wyglądzie żadnej różnicy.

JS - Czy wtedy wpadł pan na pomysł, jak można zarabiać pieniądze?

SB - Niezupełnie, ale muszę przyznać, że na pewno to zdarzenie miało pewien wpływ.

JS - Mianowicie?

SB - Uzmysłowiłem sobie jak niewielkie znaczenie ma wewnątrz człowieka w powierzchownych kontaktach a jak istotne jest opakowanie. . . lubi pan płatki kukurydziane?

JS - Nie.

SB - Ano właśnie, smak mają podły, ale za to jakie opakowanie, jeść się chce.

- JS - Tak, ale to kwestia reklamy promocji . . .
- SB - W Ameryce wszystko jest towarem, więc ja zacząłem handlować Jamesami Deanami, Amstrongami, Elwisami, czy kto chciał. A ten towar już daje niezłą reklamę. Chce pan zjeść obiad w towarzystwie Rity, czy Merlin - proszę bardzo: 750 dolców za Ritę.
- JS - Nie dziękuję, wolałbym z Melanią Gryffis, bliższa i duchowo i wiekowo. Jednak . . .
- SB - Nie ma sprawy.
- JS - W Stanach, na świecie, agencji sobowrotów jest wiele. Czym wyróżnia się pańska agencja?
- SB - Przede wszystkim, jakością usług, bo jeśli ma to być Rambo albo Ken Russell, to nasz człowiek jest prawdziwszy niż oryginał, a nie tak jak u konkurencji, człowiek przebrany w strój Snake. A czasami jest "tylko" prawdziwy.
- JS - "Tylko prawdziwy"?
- BS - Tak, prawdziwy. Zdarza się, że oryginal chce poznać życie z innej strony lub się dowartościować, więc zgłasza się do naszej agencji. To najlepszy interes, bowiem płacą obie strony. Ostatnio De Niro usłyszał, że jest za gruby na siebie, ha, ha, ha. Zresztą tym także się różnimy, że idziemy dalej w swojej ofercie i nie ma problemów z zaproszeniem Kim Bassinger do łóżka.
- JS - Czy z tego systemu korzystają także oryginały?
- SB - Przemilczę.
- JS - Co pan robi w Polsce, czy wrócił pan na stałe?
- SB - Kilka miesięcy temu przywiozłem do kraju matkę, Chciała zobaczyć, jak to teraz wygląda.
- JS - O, to pogratulować wieku.
- SB - Już nie.
- JS - Moje kondolencje. Może w takim wypadku zostawimy ten zbyt osobisty temat?
- SB - Nie ma potrzeby. Śmierci mojej matki zawdzięczam pomysł teraźniejszej działalności. Sam nigdy bym tego nie wymyślił. Otóż matka kazała się wleźć w rodzinne strony. Jechaliśmy wolno samochodem przez wieś, nie wiele staruszka poznawała. Nagle krzyczy - Franuś, Franuś. Zatrzymałem się, myśląc że jakiegoś staruszka wypatrzyła. Ale do młodego podeszła. No cóż, znałem jej zachowania, więc poszedłem do kiosku po papierosy. Notabene, wie pan, które papierosy polskie lubię?
- JS - Kapłany?
- SB - Skądże - sexsporty. Podeszedłem do nich. Matka właśnie skończyła rozmawiać, więc ja zamieniłem z nim kilka grzecznościowych zdań - bezrobotny był, bez perspektyw, ogólne narzekanie, trochę o pogodzie i do widzenia - pojechaliśmy do pobliskiego miasteczka, gdzie w małym pensjonacie zarezerwowane mieliśmy pokoje. Był tak mały, że

nasze dwa pokoje zajęliśmy i już prawie miejsc nie było. Wieczorem zjawił się ten Roskolinow, pekaesem przyjechał. Dawno nie widziałem staruszki tak rozochoconej. Poszedłem sobie do kina, na szczęście było. Po seansie zajrzałem do niej bez pukania. Był tam jeszcze, przerażony i nagł. A wszystko to za sto dolarów. Za taką sumę położył się do łóżka ze starą kobietą. Serce jej nie wytrzymało.

JS - Co pan mu zrobił?

SB - Zważywszy, że dziedziczyłem po niej, bo brat się nie sprawdził i już dawno został odsunięty, i że mogłem, tak jak chciała, pochować ją w ziemi ojczystej, nie zrobiłem mu nic. Dostał nawet jeszcze pięćdziesiąt dolarów za milczenie. Po powrocie do Stanów, opowiedziałem jaką śmierć miała i o dziwo większość jej przyjaciółek stwierdziła, że to najlepsze, co może być. Śmierć w ramionach i starym kraju. Od tego było już niedaleko do organizacji, przez moją agencję, wycieczek do kraju.

JS - Czy ma pan stałych, tu w kraju, pracowników, że się tak wyrażę?

SB - Tak, ale nie tylko są to mężczyźni, zatrudniam także parę kobiet, których umiejętności, wraz z far-makologią i medycyną naturalną, dają porządany efekt. I oczywiście zatrudniam doskonałego adwokata, który przygotowuje swego rodzaju zabezpieczenie na wypadek... wszelki.

JS - Czy nie ma pan żadnych obłecji moralnych?

SB - Nie, wszak wychodzę naprzeciw zapotrzebowaniu społecznemu. A jeśli tak jest, to wszystko w porządku.

JS - Dziękuję za rozmowę.



- Tak otrzymałem właśnie potwierdzenie .Przyszedł koniec na tę nieszczęsną kobietę - cichym głosem odparł G.

- Szkoda, taka młoda, taaaka młoda - z rozrzewnieniem westchnął ziewając W.

-Żałujesz pan,przecież to, czego dokonała jest niewybaczalne. Wprost absurdalne . Jak człowiek może dopuścić się takiej okropności - spluwając na beton rzucił G.

- Mówię tylko, że młoda. . . pomyśl pan, mogła być naszą córką.

- Mogła nie mogła, dosyć tych rozczulających banałów, idziemy

- zakończył rozmowę G.

Renatę obudził ruch klucza w zamku. Drzwi rozwarły się szeroko. "A więc to chyba już"- pomyślała -"krótko przyszło czekać." Nie przypuszczała nigdy, że tak zakończy się jej najskrytsze marzenie o szczęściu. Miało być tak, tak . . . do jasnej cholery, kochał przecież. Nagle uwolniła się z lewego oka Renaty tza, której to, mimo szybkiego ruchu ręki, nie udało się kobiecie pochwycić w chusteczkę. Malutka kropelka przebijana wiązkami słońca rozbiła się o posadzkę.

- Wychodźcie - krzyknął G.

W. patrząc Renacie dłuższą chwilę prosto w oczy zapomniał o przynależących jemu obowiązkach. Otrzymawszy kuksańca od G. wrócił na ziemię i energicznie przystąpił do czynności. Założył dziewczynie na głowę szarobrunatny, lniany worek kończyny umieścił w lśniących kajdankach i lekkim ruchem dłoni pchnął skazaną w ostatnią drogę.

Emil pracował długo, czasami do dwunastu godzin na dobę. Nigdy nie mógł być pewny czy i kiedy znajdzie się we własnym domu. Piąty czerwca okazał się dla niego dniem szczęśliwym. Oto w końcu dzień wypłaty. Wracając wcześniej niż zwykle , postanowił wstąpić do największego w okolicy domu handlowego z zamiarem nabycia praktycznego prezentu dla żony. Czegoś, co mogłoby sprawić jej przyjemność lub chociaż wywołać delikatny uśmiech na twarzy.

- Tak mało w nas dobroci - szedł mówiąc do siebie - Prawdy i ufności.

Jeżdżąc dniem i nocą swoją wielką ciężarówką bardzo tęsknił do statecznego i sielskiego życia. Domu pełnego radosnych dzieci. Wyrozumiałej, kochającej żony. Marzenia spełniły się. Brakowało tylko potomka. Jednak byli dopiero rok po ślubie i pragnienia nie były tylko płonnymi nadziejami.

- I kto się panu ukazał, coś takiego niewyobrażalnego kolega nam zaszerwuje? - zagadnął dociekliwie MR. RED.

Złapawszy ryk pienistego trunku MR. GREEN jął mówić:

- Oto patrzę idzie facet, twarz okrągła, rozpalona, niby nic szczególnego, jednak, wyobraźcie sobie, w dłoniach niesie ogromnych rozmiarów, drewnianą beczkę. Pomyslałem, być



PACO GOYA

może czas na kapustę lub ogórki kisic, więc pytam przyjaźnie:

- A cóż to, na zimę ogoreczki czy kapustkę w tej beczółce?

Niosący wystawił głowę zza przedmiotu i zdziwiony zapewne widokiem niskiego rysującego mężczyzny w krótkich spodenkach na wzór bawarski, głośno odparł:

- Nooo, nie wiem, prezent żonie niosę.

- Wielki; musi pan ja bardzo kochać - ciągnąłem.

- Rzadko się widzujemy, pomyślałem więc, że trochę radości kobiecie też trzeba dać - szczerząc żółte zęby powiedział mężczyzna.

- Aaa, tak, tak, zapewne - uśmiechając się ironicznie przyznałem rację.

- Co, śmiejesz się pan ze mnie, żem taki głupi, beczkę w prezencie. . .

- Gdzieżbym to tak, przyjacielu. . . - usiłowałem załagodzić gniew osiłka.

- Jak! Ja dla ciebie przyjaciel, mój paniczku, już mi z drogi, bo przy. . .

- Tu użył, władzę panowie jakiego słowa. . .

- Ależ, oczywiście, że wiemy - przyplerdolę - zarechotał MR. RED.

Wszystkich ogarnęła ogólna wesołość (nie bez przyczyny, ponlewał kelner przyniósł kolejne pełne kufle), nawet posępny dotychczas MR.BLACK radośnie skrzywił usta.

Renata szła pustym, wężlennym korytarzem, potykając się o wystające z butów języki. Nie myślała o śmierci. Nie potrafiła. . .Przypominały się jedynie wesołe chwile z dzieciństwa. Nagle prowadzący dziewczynę strażnicy przystanęli. Otworzyły się kolejne drzwi.

"Wrota Piekieł" - przyszło na myśl Renacie.

- Pani Bru. . . sze. . . szczyk - wymamrotał kat - Jakież życzenia - spytał - może księdza?

- Nie dziękuję panu - łamanym głosem brzmiała odpowiedź. Po chwili czynności dokonano. Ciało legło u stóp wymiaru sprawiedliwości.

Emil przekroczył próg wznosząc okrzyk:

- Kochanie, spójrz co mam, jaka dorodna, z dębowego drzewa. . .

- Ty cholerny idioto - poczęła wrzeszczeć zdenerwowana kobieta

- co mi tu przynosisz, jakieś beczki, przecież mówiłam, palancie jeden, żebys nie pokazywał się w domu bez złotej rybki.

Tu była oburącz siekierkę do mięsa i zaczęła okładać bezlitośnie zdeorientowanego mężczyznę po głowie. Mózg wytrysnął gwałtownie, jak zawartość podejrzanego specyfiku pod nazwa coca-cola, w kierunku nagiej żarówki wiszącej u sufitu. Lewe oko, rozbitej na części głowy, stało się natychmiast lupem czającego się pod stołem kota. Natomiast język usiłował

zawłaszczyc stary, siwiejący Jamnik Berti. Wszak nie bez wysiłku, udało mu się w końcu oderwać zdobycz, od reszty ciepłego jeszcze mięsa.

Renata wybiegła na zewnątrz budynku z głową uniesioną ku błękitnemu niebu, przeraźliwie wołając:

- Miała być złota rybka, złota rybka!!!!

MR. BLACK dopijając kolejny łyk trunu, głośno myślał:

- Siedemdziesiąty czwarty, może piąty, nie, chyba czwarty, tak siedemdziesiąty czwarty. To jest straszne, to straszne - zakrzyknął po chwili.

- Co takiego, jest straszne - zapytali chórem MR. RED i MR. GREEN. Mężczyzna milcząc popatrzył martwym wzrokiem na ciekawskich kompanów, wstał od stołu i zdecydowanym krokiem opuścił lokal.

- Tak! poczciwy gość, z charakterem, a widzi pan jak skończył, szkoda; miło nam się rozmawiało - z żalem stwierdził MR. RED.

- Tak - zamyslił się MR. GREEN - Tylko zawsze jakiś taki zamknięty, nie wie kolega przypadkiem, gdzie pracował nasz MR. BLACK?

- Nie... nic mi o tym nie wiadomo... czsami wspominał tylko, że otwiera wrota niebios - zarechotał szyderczo MR. RED.

- Nieeeebba? - dziwiąc się MR. GREEN sięgnął po wypełniony wódką kieliszek i ze skrzywną do bólu twarzą, opróżnił go - Niech i Jemu się otworzą te wrota - dodał po chwili.

Ciało MR. BLACKA służby porządkowe odcięły z kryształowego żyrandola w jego mieszkaniu, piętnastego dnia czerwca bieżącego roku, około południa.



Złość na twarzy jędzi
 młodym i dorosłym
 po ile złości na twarz
 przypada u nas
 o tym roku
 tego nie wiem
 zwołajcza
 dobry Bóg
 bo to po prostu
 legion
 idzie

!
 tak
 owoja nas
 za sobą
 głośno
 się śmieją
 zwołajcza
 dzieci śmieci
 złość pada była jak.

MAY

Mayto robi się z mleka
 mleko z krowy
 wychodzi
 człowiek jadzący
 jamotnie
 przypomina zwierzę
 a
 człowiek pijący jam
 to potencjalny
 jamobójca
 patrzę na to
 i głowa miła boli
 żółdek
 ćwiczę
 odruchy
 wymiotne
 anioły
 myślę
 patrząc o dół
 na ciche żony kłęczę
 idące do Rzymu
 że nie wiedzą
 co czynią
 BO ΩΑΤΥΗΚΗΝ ΟΣΛΕΡΕ



Śmierć
jest zimna
i kiedy przychodzi
tak mówią
to zaczyna
od sztywnienia
tkanek
krew tężeje
opada od spodu
pozostaje
cielesna
powłoka

powód, żeby gnć
Zimny chirurg zagląda do środka
rozcina włosy od ucha do ucha
tnie piła elektryczna
zdejmuje sklepienie jak kapsel
odcina tętnice i rdzeń
ogląda, dotyka i wacha
bo mózg zabitego śmierdzi trucizną

albo alkoholem, prochami
**STRACHI PRZED ŚMIERCĄ,
POZOSTAJE W CIEPLE MYŚLI**

A od nich martwy mózg jest czysty
zimny chirurg zszywa głowę po badaniu
ścigłem na jodełkę maskuje włosami
zaczyna rozcinać brzuch, pęka tłuszcz
pod ciężarem noża
zimny chirurg patrzy na martwą
już kiedyś raz wątrobę
alkoholika, nerki
zniszczone używaniem piwa
żołądek śmierdzący wrzodami czarne
zasmolone płuca i oklapły
worek serca pod zimną warstwą mięsa
dopełniają obrazu szkód
LUDZIE CIĘŻKO PRACUJĄ ŻEBY UMRZEĆ
każdy żywy jest niebezpieczny żyje
często bez żadnej logiki martwego można
zbadać opisać i zmierzyć intencje nieobliczalnych
żywych są zagadką jak ich żywy mózg



ale żywy nie sztywnieje do końca
takie coś nie miałoby sensu
chyba że
rodzimy się trupami bez ciepła tylko po to żeby
znowu sztywnieć kiedy przyjdzie śmierć
zimny chirurg płacze przepięłony myślą
że on też . . .



W tym roku nadeszła wcześniej. Robiło się białe i przytulnie. Można powiedzieć, że cały rok czekam na zimę. Zmierzech wreszcie zapada tak szybko i mogę spacerować ulicami, zaglądać do oświetlonych okien, wdychać zapachy świąt, jeżeli jest przed świętami, żyć, po prostu żyć. Kiedy pada, nikt na nikogo nie zwraca uwagi w swoich czterech ścianach z płatków śniegu i już od rana mogę wyjść na ulicę bez narażenia się na ludzkie przerażenie. Z wiekiem coraz bardziej denerwują mnie takie reakcje na mnie jak: strach, histerie, skomlenie oliwość, targi.

Nie tyle pierwszy śnieg mnie cieszy, ale mróz. Starczyły, że rtęć rozbija skalę, zimno upoważnia do szczelnego okrycia, grubego opatulenia, bez oglądania się na modę czy szyk, byle ciepło. Kiedyś miałam jeszcze trochę obaw, że moje czarne okulary mogą zastanawiać o tej porze dnia i roku, i nawet przygotowałam tekst o zapaleniu spojówek dla jakiegoś natręta. Przewrotny zawsze ubezpieczony. Jednak odkąd pojawili się punkowcy, nie już nie razi w moim wyglądzie. Przejęłam ich modę, nikt mnie nie poznaje, chodzę sobie i patrzę.

Pracować się nie chce, bo komu by się chciało

wykonywać tę samą czynność prawie od zarańca światła. Komu? Na szczęście jest konkurencja, różne raki-nieboraki, dżumy i cholery, jakieś bomby, katastrofy, trzęsienia, dużo tego, coż wolny rynek to i jakość usług nierówna. Ja się nigdy nie spieszyłam, do każdego podejście indywidualne, czas na pogodzenie się ze sobą, pocieszenie, ogólnie - "klient nasz pan" i "jakość nie ilość". Nie tak jak ci wszyscy współcześni dorobkiewiczze. Co stary fachowiec to,...

Jednak fachowość i wieloletnia rutyna przegrywają czasami ze zbydłoceniem obyczajów; na tego wygolonego do gołej skóry zwróciłam uwagę już wcześniej. Trudno nie zapamiętać jego fizjonomii: okrągła, jeszcze bardziej brakiem fryzury, zaokrąglona głowa, usta ściągnięte jak dwie dżdżownice, na nosie czerwony placek jakiegoś obtarcia czy llszaju. Ładny nie jest. W trosce o swoją urodę wytatuował sobie powieki cienką niebieską kreską, a na czole 220V. Urokliwe dodatki.

Najgorsze są oczy, przekrwione, nieruchome, zawzięte. Oczy - zwierciadła duszy.

Nie wygląd każe pamiętać to Indywiduum, lecz jego zachowanie. Za

AM 13

pierwszym razem spotkałam go w autobusie. Siedziałam przy oknie, autobus podjechał na przystanek, wsiadł i z każdym zaczął mierzyć się wzrokiem. Wszyscy spuszczaali głowy, umilkły rozmowy. Ludzie pouciekali w głąb siebie. Ja zerkałam w okno jak w lustro. Razem z nim wsiadł taki niedorozwój z dużą głową, jego glermek albo błazen, albo pachol. W tej ciszy opowiadał pacholowi, jak pobit jakiegoś chłopca do krwi. "Zlutowałem zajaczka" jak to określił. Ludzie truchleli, a on opowiadał dalej:

- Jak już się ledwo ruchał, rzuciłem go kurwe na ławkę, wzięłem deske i...

- I co - zapliskał Błazen

- Nic, normalka, ponaciskaem coby się równiej lao - skwitował.

- Ale to słaby numer, opowiedzieć ci jak wyjoem gościowi patrzalke - zapalił się gawędziarsko.

Tej historii nie usłyszałam. Wsiadł na szczęście z autobusu, żegnając pasażerów jak na dżentelmena przystało, głośnym beknieniem. Przez parę przystanków smród przetrawionej alpagi nie pozwalał odetchnąć.

Tydzień później widzę go ponownie. Wylazł z jakiejś bramy na bardzo miękkich nogach, oparł się o kosz na śmieci, zza pazuchy

wyciągnął torebkę foliową z jakąś brązową mazią, przytknął do ust, zaczeprał oparów i cisnął w głąb kosza. Jaki porządny - pomyślałam. Jednak nie, wyciągnął zapalnik i podpalił śmieci. Ta substancja musiała być bardzo łatwopalna. Płomień na chwilę buchnął z tych zamarzniętych śmieci, po czym przygasł i bardziej się dymiło niż płonęło. Kopnął w kosz, rozsypując tłące się odpadki po chodniku. Rozkopując dalej paplery wrzeszczy jak opętany - system wali się system pali się. A może miał być to śpiew. Przestał śpiewać, wyciągnął rękę do góry krzyżując - zichał za Polskę, Polaków i kraj - a kiedy już się wykrzyczał, wyciągnął fujarkę i prawie biegając, oddał mocz. Ludzie uskakiwali na boki. Tak lejąc przebiegł jakie sto metrów i zniknął za rogiem. Mróz jest dzisiaj znaczny, więc nie dziwnego, że strumyczek po jakimś czasie zamarzał. Przechodziły dwie staruszki, którymi już niedługo powinnam się zainteresować. Jedna straciła równowagę, na powstałym lodzie i wywracając się pociągnęła drugą. Ta stuknęła głową w beton. Podbiegłam, bo to przecież moja praca; spokojnie, za wcześnie, odchodzę.

Ubrałam się dzisiaj bardzo ciepło, na wierzch kurtka skórzana z kożuszką, pod spodem tyle tego, że szkoda czasu na wymienianie. Nic dziwnego, że wreszcie nie wyglądam za szczupłą.

Więc mroź mi nie przeszkadza, mogę spacerować dalej, bo przecież wieczór taki młody, a noc taka upojna, słówik to a nie skowronek się... W głębi to ja jestem niepoprawna romantyczka.

Z zamyślenia wyrwał mnie charakterystyczny, bełkotliwy głos:

- Te Nina Hagen jesteś? Ty zwykła rura jesteś do polerowania małucha a nie pankowa, pank is det, skiny okej - gada bzdury i ciągnie mnie w stronę bramy. Powiem nieskromnie, że w pewnym stopniu sprawił mi odrobinę przyjemności, biorąc mnie za kobietę. Ale dalej przyjemności nie było. Wciągnął mnie na schody i dalej rzucając hasła w stylu "kobieta materacem narodu" brutalnie rozbiera. W tym zapamiętaniu, czy jak to się mówi, w uderzeniu spermy do mózgu, nie zastanawia go zerwany drugi i trzeci sweterek. Dopiero czwarty. Ale dalej rozrywał materiał jak kreplinę. Ale już trzecia spódnica znacznie zwalnia jego ruchy. Coś mu nie styka, może się opamięta. Zwykle w takich sytuacjach mówi się "miałem ją na

ramieniu". Przekrzywia głowę i patrzy zaintrygowany w oczy. Ciemne okulary. Nie opamiętał się. Zrywa moje okulary i pod głębokim spojrzeniem pustych oczodołów; zatrząsł się, zafalował jak łan żyta. Ścinam go kosą z ramienia.



LEO VAN DER ZALM

Zabójcze pole Cañete

Wielki konkwistador
cierpiał porażkę i zmarł tam
nie zachowała się ni kość

Indianie żyli tam
cierpieli i umierali
nie zachowała się ni kość

potem przyszła klasa średnia
i ożył cmentarz
mauzoleami
po parę metrów sześciennych

Jezioro i wulkan w Villarrica

nie góry wokół
lecz człek w łodzi wiosłowej
czyni jezioro tak szerokim
żuraw
tak skrajnie biały
kreśli czarny otwór w widoku

to turkusowe zwierciadło
w oprawie malwy
czekaj, zmroku, czekaj
tylko jedno piórko
bracie wulkanie, coś piczastego
na do widzenia

przeł. Lesław Borowski

Ból nauczycielem

jestem tym kogo nikt nie chce
jestem nasieniem odrzuconym
przez Iono
jestem dojrzałym owocem
gniącym w słońcu
jestem snem
który się nie ziszcza
jestem niedojoną krową
utraconym pakiem
poronionym dzieckiem

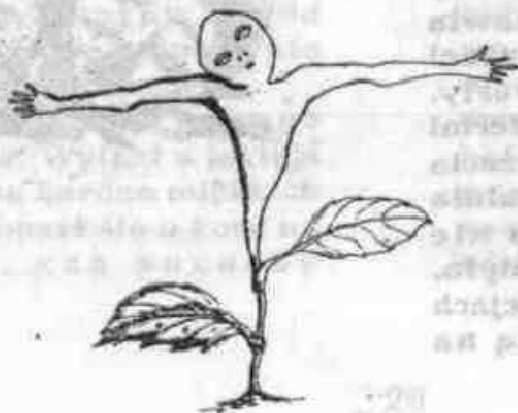
lecz wszystkie te rzeczy smutnie niespełnione
są mi znakami innego życia
czekającego mnie nie do zdobycia

Przyziemnie

Gdy zstępuję z kraju snów
na świat,
okrywam swe piękno koszulą i spodniami.
Tam nie mogę być nagi
i bez płaciwa.
Wola złamana, wszystko daremne,
będę żył w strachu,
umrę boleśnie.

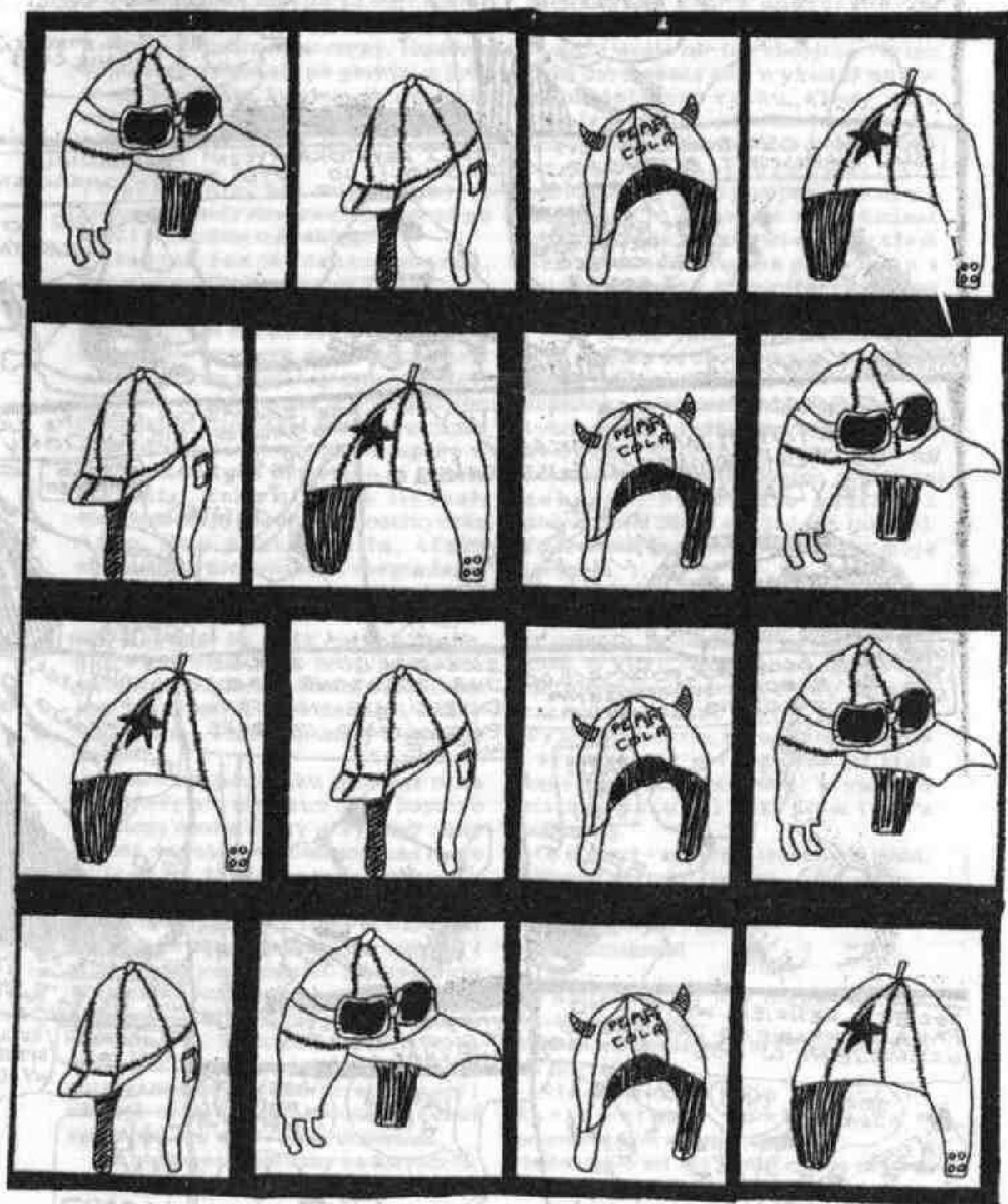
Gdy zstępuję ze swego nieba
na świat,
przykrywam swego ducha
zwierzęcym kozuchem.

Moje niebo tam, gdzie wszystkie dobre rzeczy;
sny, pomysły i miłe wspomnienia,
miejsce, gdzie wszystko szczęśliwe zostało złożone.
Mój kraj jest w chmurach,
nie na starej Ziemi.
Ale gdy dotkną,
gdy me sny dotkną świata
- będzie padało łzami.



NOTKI, PLOTKI I PILOTKI

DZISIAJ: P I L O T K I . . .



BLĘKITNA KREW

antykomunizm
antystokratyczny

by TOSIAK
LUBLIN 33/94



PICTURES AT AN EXHIBITION



PAST

Park późnym latem przyciągał mnie zawsze. Pamiętam jak wrzeszczałem, kiedy tata zamiast pojsć tam ze mną, wolał książkę, mocną kawę i mamę przy boku. Dostawałem hysterii. Rwałem ubranie na strzępy, tupiałem w podłogę, biłem się po głowie, a jeśli to nie pomagało, biegłem do łazienki i zakławionym głosem wyłem:

- Zobaczysz! ... Kopnę ciebie w samego siurda!

To pomagało. Nie mijała nawet sekunda, kiedy dostawałem mocno po buzi i słyszałem coś takiego:

- Jeszcze raz wydrzesz mordę, gówniarzu! Cholera jasna! Zabiję!

Wściekłość była porażająca. Nie musiał nawet nic mówić, wystarczyło, że na mnie spojrzał, a ja natychmiast uciekałem do wielkiej, starej szafy, która od wieków stała w przedpokoju. Siedziałem tam jakiś czas, grzecznie obserwując otoczenie przez szparę w niedomkniętych drzwiach, a potem cichutko, żeby nikt nie słyszał, wołałem moją ukochaną siostrzyczkę Anię. Ona podchodziła, stała chwilczką nieruchomo, rozglądając się, czy nikt nie patrzy i wślizgiwała się błyskawicznie do środka. Uwielbiałem ją. Była jedyną osobą, która potrafiła mnie zrozumieć. Tak samo zresztą było później i tak samo jest teraz, choć dziś zamiast szafy wybieramy sobie bardziej wygodne meble.

Tato na początku udawał albo naprawdę nic nie zauważał. Dopiero pewnego ranka, kiedy przyszedł mnie budzić do szkoły i zobaczył nas nago w jednym łóżku, poczerwieniał, otworzył usta, wciągnął powietrze, upadł i tak został z tymi otwartymi ustami, wytrzeszczonymi oczami i wierzgającymi nogami. Siostra była wściekła, ponieważ przerwał nam zabawę w najbardziej ekscytującym momencie. Ze złości nie mogła wykręcić numeru pogotowia, a nasz tato wierzgał nogami coraz słabiej i słabiej, aż w końcu przestał, stęknął tylko raz, czy dwa i znieruchomiał.

Na pogrzebie staliśmy za księdzem,

obok naszej mamy, maksymalnie zalanej łzami. Naprzeciw nas w odległości nie większej niż dwadzieścia metrów, młody mężczyzna stał z opuszczonymi spodniami i patrzył na nas obojętnie. A może wcale nie tak obojętnie? Przez całą ceremonię nie wykonał nawet najmniejszego ruchu. Kiedy Ania spostrzegła go, parsknęła głośnym śmiechem. Pokazała mu dłoń, żeby zaczął się masturbować. Nie zareagował. Wtedy ja pokazałem mu dokładnie to samo, ale natychmiast oberwałem po głowie, zostałem brutalnie chwycony za rękę i wyprowadzony z cmentarza. Mama miała czasem strasznie dużo siły.

W domu lała mnie skakanką i wyzywała od zbrojców, a przede wszystkim ten facet był nim, nie ja.

Skakanka systematycznie rzucała mój tyłek ale powiedziała sobie, że nie krzyknę, choćbym miał nawet zwariować z bólu. Mama w końcu zobaczy, że nic nie działo i przestanie. Stało się jednak inaczej. Zadzwoił dzwonek i przerwał moje tortury.

Przyszedł ksiądz, bliski znajomy rodziny, ten sam, który był na pogrzebie. Podał mi po przyjacielsku dłoń, w kilku słowach wyraził swój żal po śmierci ojca, a kiedy usiadł i zaczął pocieszać Mamę, musiałem wyjść. Bałem się, by nie złapał mnie (samobójczy w tej sytuacji) atak śmiechu, pobiegłem więc szybko do mojego pokoju i zakryłem twarz poduszką.

- Co ci jest? - zapytała troskliwie Ania.

- Pamiętasz tego faceta? - wydusiłem.

- Jakiego faceta?

- Tego z gołym tyłkiem!

- Na cmentarzu?

- Tak.

- Pamiętam; ty nie masz takiego wielkiego jak on.

Wolno odstąpiłem twarz i spojrzałem na nią wściekle.

- Nie denerwuj się robaczku, żartowałam - powiedziała z przewrotnym uśmiechem.

Odechciało mi się śmiać. Moja męska

godność została potężnie grzmotnięta po łbie.

- A pamiętasz księdza? - zagadnęła mnie siostra po chwili.

- Nie próbuj zmieniać tematu - warknąłem.

- Nie zmieniam, o co ci chodzi? Naprawdę nie chciałam, żebyś się obraził.

- Znam cię.

- Uwierz mi.

- Nie, wpakowałaś mi tę szpilę specjalnie. Jesteś wredna jak, jak...

- Ale ja po prostu żartowałam! - wrzasnęła, a kiedy spojrzałam na nią zaskoczony, dodała już normalnie - A teraz pamiętasz tego księdza?

- Tego z pogrzebu? - spytałem niepewnie.

- Dokładnie.

- Pamiętam...

- Widziałeś jak się pocili i jak mu latały ręce, kiedy zobaczył tego zboczeńca? Na pewno się podniecił, co nie?

PRESENT

Leżę na podłodze, mam zamknięte oczy i jest mi niedobrze. To co stało się przed chwilą było czymś tak niesamowitym... nie sądziłem, że kiedykolwiek zrobię coś takiego... Boże...

Jest już ciemno. Gdzieś w gęstej trawie, tuż pod oknem, leniwie cykają świerszcze. Jutro na pewno będzie upał. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Stella turli się niespokojnie po dywanie. Wiem, że jest wstrząśnięta. Jej niespokojne myśli raz po raz uderzają w mój mózg, rujnując jego i tak nadszarpiętą równowagę. Ania jest w łazience. Myje dłonie. Krew miesza się z mydlaną pianą i brudzi śnieżnobiałą umywalkę.

- Oni przyjdą i go znajdą - słyszę Stellę w podświadomości - Domyślą się kto to i dlaczego...

- Nie bój się - mówię nie swoim, zdławionym głosem.

- Nie?

- Nie, kurwa mać, nie bój się - wrzeszczę, chociaż nie wiem czemu - Przynajmniej w pudle nikt cię nie zgwałci! Co innego ja!

- Uspokuj się.

- Jak?

- Przestań o tym myśleć.

- No nie! - podnoszę się gwałtownie i biorę ją na ręce - On tam jeszcze leży, wiesz? Lada moment przyjedzie rodzina i pójdziemy do pudła jak jasna cholera, a ty mówisz mi, żebym kurwa przestał o tym myśleć, tak?

- Paweł - Jej głos jest cały czas spokojny i miękki - Postaw mnie. Nie pójdziemy do więzienia.

- Oszukujesz mnie czy siebie?

- Ucieknijemy.

- Poważnie? Kurwa! To jest cholernie śmieszne?

Rzucam ją na fotel. Do mojej świadomości dociera jej cichy krzyk, a potem ten sam łagodny głos.

- Nie traktuj mnie tak...

- Przepraszam - usiłuję się opanować.

- Rozumiem.

- Nie wierzę żebyśmy mogli uciec...

- Ukryjemy się w pokoju!

- W pokoju?

- Tam nie przyjdą.

- Skoro my możemy tam pójść, to oni też! Tym bardziej!

- Pomyśl.

- Po co?

- Pomyśl. Uspokuj się i zastanów. Oni do nas n-i-e-p-r-z-y-j-d-ą, zrozumiałeś?

Ocieram twarz dłonią. Tak - myślę szybko - oni nie trafią nigdy do naszego pokoju, bo przecież jego po prostu, najzwyczajniej w świecie, nie ma... Boże, jego nie ma.

- Stella! - biorę ją z fotela i podnoszę jak tylko mogę najwyżej i zaczynam tańczyć wokół stołu - Kocham cię, kocham - wrzeszczę jak opętany.

W drzwiach staje Anka i patrzy na mnie podejrzliwie.

- Aniu - podbiegam do niej radośnie - Żyjemy, słyszysz? Oni wszyscy mogą nam nagwizdać w পেপক!

PAST

Kiedy zmarł ojciec, Anka była załamana dla wszystkich z wyjątkiem mnie. Wraciała wieczorem ze szkoły, rzuciła torbę w kącie, robiła kanapki i wyciągała mnie do parku. Tam, zdaleka od rodziny, przypadkowych przechodniów, pijanych facetów i ryczących samochodów, zmieniała się w moją kochaną siostrzyczkę, żywą i roześmianą do granic rozsądku. Tak minęło nam tamto lato.

Przyszła jesień. Park stał się ponury, brudny, drzewa zapaskudziły burymi liśćmi jego fantastyczne stawy. Ławki straciły kolor, lampy nocą świeciły coraz słabiej i słabiej, aż w końcu pewnego dnia Park umarł całkowicie. Było nam wtedy ciężko. Pod czujnym wzrokiem mamy, babci, dziadków, ciotek i wujków stawaliśmy się coraz bardziej sfiaczali, niedostępni, zupełnie tak jak On. Anka poznała chłopaka. Miał na imię Marek, choć poza tym cały był do dupy. Nie interesowały go ani moje opowiadania, ani moje taśmy, ani znaczki, nic. Jedyne czego pragnął to obsesyjne różniące mojej siostry, ponieważ to skutecznie leczyło go z licznych wyprysków na twarzy. Nienawidziłem go. Na zajęciach rysowałem setki karykatur jego członka. Pokazywałem je później pani profesor, za co dostawałem w twarz i lądowałem u dyrektora. On jedyny z całej szkoły zaśmiewał się z tych molch arcydzieł, ślinał się przy tym, purpurowiał i ochoczo przytulał mnie do swego obłędnego brzuszyska, zupełnie jakby był zboczony. Nazywał się Jan Kornul - wymarzone imię dla pedafa. Był wujkiem, czy stryjkiem Marka, co niezmiernie mnie dziwiło, ponieważ nigdy nie rozpoznał czyjego kutasa oglądał. Może nie łączyły ich najlepsze stosunki? A może jaś był tak zaślepiiony uczuciem, że nie patrzył na to, co trzyma w paluchach? Nie wiem, w każdym razie takie i inne pytania zapisywałem zawsze w moim pamiętniku, który w tym okresie rozrósł się z połowy, do czterech opasłych treścią tomów, które do dziś czytam z wypiekami na twarzy. Mam właśnie pod ręką jeden z nich, jędrne, dwustukartkowe zeszytisko. Pozwolisz, że na chwilę go otworzę.

NIEDZIELA 6 A.M.

Jem sritodanie i jest mi niedobrze. Marek kocha się z Anka na sedesie Horror. Rodzina pojechała wczoraj na grób ojca i jeszcze nie wróciła. Stąd la cała rozpusta. Anka stęka jakby zamiasł szczoleczką, myła sobie zęby odkurzaczem. . . Chyba to wykreślię, choć ona i tak tego nie przeczyta. . . Szkoda mi tylko tego błękitnego, isniacego sedesu. Też on musi zniszc.

NIEDZIELA 8 A.M.

Marek chodzi goły po mieszkaniu i

wszystko mu zwisa.

NIEDZIELA 9 A. M.

Przyszła Grzesiek. Dostał po mordzie, bo chciał umówić się ze mną, w dzikim lesku za miastem. Czy cały świat to niewyżyły Marek i pedafa w mojej szkole? Boże, coś ty narobił

NIEDZIELA 11 A. M.

Czytam. Książka nazywa się "Wichrowe wzgórza" i ma niesamowitą, wisitową okładkę. Grześ przed chwilą stoczył się ze schodów pchnięty umięjętnie moim organizmem. Mam nadzieję, że się połamał i już nigdy więcej nie przyjeździe.

NIEDZIELA 8 P. M.

Obiad. Makaron ze śmietaną i dżemem plus sok wieloowocowy. Anka jest dziwnie smutna. Nie je. Marek ogląda telewizję. Chyba się coś między nimi nareszcie. . . cholera jasna: NARESZCIE !!!!! spierzyło!!! Tylko czemu ja o tym nie wiem? Przecież siedziałem cały dzień w domu?!!!!

NIEDZIELA 10 P. M.

Nic z tego. Moje nadzieje popłynęły, wymieszane z brudem, z zapapranym obiadem talerzy, które osobście musiałem unyć! Znowu się rabią. Tym razem w przedpokoju, na stojąco. . . Marek wzdycha jakby połykał rurę wydechową pedzającego Harleya. HORROR!!!

PRESENT

Idziemy długim korytarzem. Na ścianach drewniane obicia, chrupane systematycznie przez korki. Podłoga wyłożona płytami PCV, miękka i lepka. Na suficie tyse żarówki, co dziesięć metrów, ranią boleśnie oczy.

Jest straszliwie gorąco. Ruda grzywka Anki dawno już zmieniła się w tłuste kosmyki i okleiła jej twarz. Zegarek, razem z potem, spływa z mojego nadgarstka, a podkoszulek klei się do czego tylko może. Nie wytrzymam tak długo, tym bardziej, że muszę ciągnąć tego, ciężkiego jak cztery worki cementu, Leszka.

Stella pociesza mnie cały czas. Pozwala mi to momentami nie myśleć o niczym, ale ona szybko się niszczy.

- Długo już idziemy? - pyta Ania ocierając czoło.

- Pół godziny - odpowiadam niedbale, bo nie chce mi się patrzeć na zegarek.

- Skąd wiesz?

- Czuję. . .

- Porozmawiajmy o czymś - wtrąca się Stella łagodnie i słodko.

Dlaczego ja tak za nią szaleję?

- O czym? - Anka patrzy na mnie i puka się w czoło.

Odpukuję jej.

- O byle czym... Może być o was... Tak słabo was znam, zwłaszcza Anię... Jak tam twój chłopak?

- Jaki mój chłopak? - siostra wygląda na zdziwioną.

- No... Marek!

- Ach, ten... Dawno z nim skończyłam, a właściwie skończył z nim ten dupek - tu oczywiście jej palec wskazał mnie - Chyba miesiąc temu Marek kupił mi lokówkę, a ten psychopata dał mi w zęby, związał w łazience i wpakował mi te lokówkę w tyłek... Boże, jak tam śmierdziało, mówię ci!! - Ania zaczyna się śmiać, jakby to było zabawne.

Stella nic nie mówi. Czuje jej myśl: "Ty kochasz ją, nie mnie. Byłeś zazdrosny. A on robił wszystko na twoich oczach. Nie mogłeś tego znieść, za długo to trwało, nawet dla ciebie".

- Nie usprawiedliwiaj go! - cedzi siostra z naciskiem. Nawet nie zauważyłem kiedy przestała się śmiać - On jest zwyrodniałą jak polip ciotki Barbary.

- Nie jestem - bronię się dziecinnie.

- Jesteś! Ty przecież rysowałaś te jego karykatury! Gdybyś nie był wariatką narysowałaś jego twarz!

- Sama jesteś wariatką! Jebałaś się z nim na klozecie, widziałem!

- Gównie widziałem!

- Widziałem!

- Wyglupialiśmy się, żebyś się wściekała! Gównie!

- Żadne gównie, tak był!

- Ty lubiłaś te jego świnie pomysły! Podniecały cię jak cholera!

- Dlaczego nie powiesz nic o swoich pomysłach?

- Anka!

- CO!!!

- To były nasze pomysły! Tak samo twoje, jak moje!

- Przestały być nasze, jak umarł tata! Patrzę na nią smutno. Nie powinna była tego mówić, cholera, po co...

PAST

To wszystko prawda. Rzeczywiście załatwiłem Marka lokówką i rzeczywiście w łazience. Chciałem, żeby cały pion słyszał, jak raz na zawsze wyrzeka się Anki. Miał

powiedzieć coś takiego:

"Oświadczam, że Anka Łachocka, córka zmarłego przed laty Andrzeja Łachockiego, żyje w bliskich stosunkach ze swoim bratem - Pawłem Łachockim, czego niejednokrotnie byłem świadkiem. Niniejszym stwierdzam, że moje domniemywane przez wszystkich kontakty z wyżej wymienioną, są oczywiście wymówieniem, w związku z czym, zrywam wszystkie więzi jakie kiedykolwiek łączyły mnie z tym domem i jego mieszkańcami.

Marek Lesche

dn. 28. 05. 89'

Kiedy to przeczytał i zrozumiał, powiedział żebym się z tym wypchał; zebrałem w sobie wszystkie siły i... wykrzychałem moje oświadczenie trzy razy. Za każdym razem głośniejsze, co nie wypierając się, było moją zasługą. Potem wpadła siostra, chwyciła go za rękę i wyciągnęła z domu, nie dając nawet czasu na zapętlenie spodni.

Ranekiem na mojej nocnej szafeczce znalazłem kartkę: "Fajnie, że nie kupił mi opiekacza - Anna". Przeczytałem to i, z radości, podskoczyłem wysoko, wysoko, aż pod sufit, a kiedy opadałem powoli z powrotem, wyjąłem z szafki czarna farbę i napisałem (tuż nad moim łóżkiem: "widziałem, że popatrzysz tutaj, kiedy skończymy". Bóg tylko jeden wie, co miałem na myśli.

Po południu, korzystając z fantastycznej pogody, pobiegliśmy do Parku. Przywitała nas setka nowych, tajemniczych ostępów. Przyznam, że potrafił stworzyć czasem niezmiernie krajobrazy. Wiedział, że jeśli przyjdziemy, wybierzemy właśnie te miejsca i czerpał z tego energię do dalszych pomysłów. Był lipiec, pełnia lata, słonecznego jak diabeł, miał więc nieograniczone pole do popisu.

Tydzień potem, mniej więcej na początku sierpnia, zbił nas z nóg nowym, niezwykłym tworem. Był to Leszek. Spotkaliśmy go spacerującego na golasa, świeżo zamiecionymi alejkami; tuż obok niego, turlała się mała, śliczna Stella.

- Połączyłem w niej wszystko to co chciałbym widzieć w kobietach - powiedział bez żadnych powitań i niepotrzebnych wstępów - Miałem bardzo

ogromne problemy ze znalezieniem odpowiednich wzorców, ale on podsunął mi Anię. Pozwolił mi ją przeanalizować, a kiedy odnalazłem w niej prawie wszystko, czego szukałem, dał możliwość wykorzystania jej.

- Wykorzystania? - zdziwiłem się nie mniej niż siostra.

- Nie wiem, czy mnie zrozumiałeś. Mówiłem o wykorzystaniu duchowym, nie fizycznym. Nie bój się, nie jej nie zrobiłem, ponad to, że na jej podobieństwo, stworzyłem Stellę.

Przyjrzałem mu się uważnie. On także był zadziwiająco podobny do Anki. Te same oczy, brwi, nos tylko trochę inny i usta mniejsze, bardziej męskie. Było w nim coś takiego, że chyba mogłbym się w nim zakochać. Nie wiedziałem tylko, że Stella już wtedy, powolutku zaczęła opanowywać mój umysł.

Przeleciał cały rok. Był jakiś krótszy niż zwykle i bardziej stresujący. Trwał zaledwie kilka dni, ale do woli zdążył wyłębnić nas wszystkich przejmującym wiatrem i wysmagać marznącym deszczem i gradem.

Leszek zamieszkał u mojej ciotki. Zajmował cały parter jej, zbudowanej na górską modłę, willi za miastem. Nigdy prawie stamtąd nie wychodził, z wyjątkiem dni, kiedy Stella udało się wymknąć spod jego czujnych oczu, do mnie lub razem ze mną do Parku. Wtedy bardzo się wściekał. Czasem, kiedy przybiegał zdyszany, miał pięści pozdzierane do krwi. Często płakał. Mówił, że kocha Stellę i nie może znieść myśli o rozstaniu z nią. Potem zabierał ją do domu, zamykał w którymś pokoju, a sam, najchętniej w łazience, ponieważ nikt oprócz niego tam nie wchodził, upijał się HEINEKENEM...

PRESENT

Korytarz kończy się gwałtownym grzmotem, podobnym do tego, jaki słychać kiedy odrzutowiec przekracza barierę dźwięku. Przed nami, największy chyba obszar Parku, najmniej przez nas znany. Wciągam z

ulgą świeże powietrze. Chłód wieczoru przyjemnie owiewa twarz, łagodzi znużenie, przynosi wytchnienie spoczonej skórze. Anka pada ciężko na miękką trawę.

- Już niedaleko - słyszę szept Stelli - Najwyżej pół godziny drogi...

- Będziemy mogli wrócić? - pytam podejrzliwie.

- Nie.

- Nie???

- Nie krzycz tak, to nie moja wina...

- A czyja? - syczy złosliwie Anka.

- Sami chcieliście, żeby tak wyglądało.

- Ale pokój wymyśliłaś ty! - Anka podnosi się i siada po turecku - Pomrzemy tu z głodu; Park nie będzie mógł nam cały czas pomagać.

- Damy sobie radę...

- Jasne - wtrącam ironicznie - Zbudujemy szałas.

Siostra puszcza do mnie oko.

- I będziemy latać na gołasa! chciałbyś, nie?

- Nigdy nie chciałem wleźć niż ty!

- Przecież nigdy nie wiedziałeś, czego ja chcę.

- Nie zaczynajcie znowu się sprzeczać - mówi cicho Stella - Leszek może się zbudzić.

- Zbudzić?? - Ania zaczyna się śmiać - On jest przecież taki martwy, że...

... że nawet umarliak wysiada - dokończyłem natychmiast.

- No właśnie Stella. On jest w stu procentach trupem.

- Dopóki jesteśmy w Parku, to nie jest tak pewne...

- Nie wiem o co ci chodzi - wzruszam ramionami - Dla mnie to proste.

- Pewnie - dodaje Anka - Coś, co jest martwe, jest martwe i koniec. W parku czy poza nim. W jaki sposób Leszek mógłby ożyć? Hm...?

- Posłuchaj, Park dał mu życie...

- zaczyna Stella, ale przerywam jej nagle, kładąc palec na ustach.

- Już chyba wiem, co masz na myśli - szepczę ponuro.

- I on to zrobi!

- Wiem, że to zrobi. Prędzej czy później, ale pomyślałem przed chwilą o czymś innym...

Siostrzyczka wyglądała na zaniepokojoną.

- O czym w końcu wy mówicie? - dopytuję się patrząc na mnie, to na Stellę.

- To jest... prawdopodobnie bardzo proste - zaczynam tonem faceta, który właśnie wrócił z Cambridge - Park może stwarzać od nowa wszystko co stracił, dlatego cały czas jest taki fantastycznie świeży, cały czas zielony. On po prostu nigdy nie... hm... nie umrze.

Siostra patrzy - prosto w moje oczy.
- Chyba rozumiem - mówi po dłuższej chwili - Chyba... To znaczy, że jeżeli chciałabym go zabić, musiałabym go zniszczyć całego jednocześnie... Tak?
- Tak. Oh, przyszło mi do głowy coś jeszcze. On cały czas żyje, obserwuje nas, a myśmy zabili... zabiliśmy jego dziecko.

PAST

Kiedy Stella uciekła Leszek prawie oszalał. Przychodził do nas i zamykał się w szafie, tej samej, w której sam nieraz siedziałem. Mówił, że to jedyne miejsce, gdzie nie czuje się samotny, ponieważ ubrania stwarzają mu pozory troku. Ja musiałem wtedy natychmiast wyjechać i zostawić moją siostrę na jego pastwę.

Po tygodniu napisała do mnie list, w którym prosiła, bym nazajutrz czekał na nią na dworcu. Poszedłem. Przyjechała bez żadnych bagaży tylko w dżinsach i moim podkoszulku. Powiedziała, że dłużej nie mogła tam zostać. Leszek co noc próbował wejść do jej łóżka, a kiedy się nie zgadzała, siał obok i onanizował się. Zwykle kilkakrotnie.

- Dlaczego nie wywaliłś go z domu? - spytałem, być może trochę za ostro.

- On nie miał dokąd pójść...

- A Park?

- Park go odrzucił...

- Jak to odrzucił? Nie mógł?

- Leszek nie upilnował Stelli.

- No to co?

- Jeśli ona by zginęła, to Leszek tym bardziej.

- Głotka go też nie chciała?

- O ciótce opowiem ci potem, była u mnie wczoraj. Widziała go, jaki jest.

- Co się stało?

- Potem.

- Dlaczego???

- Jestem zmęczona, nie śpię od kilku nocy! Zaprowadź mnie do siebie.

- Ale ja jeszcze chciałem...

- Proszę... padam z nóg.

Zaprowadziłem ją do swojego pokoju. Od razu, nie zdejmując nawet butów zasnęła na moim łóżku. Przykryłem ją kocem i poszedłem po zakupy.

Po dwóch tygodniach wróciliśmy. Leszek otoczony zasiekami ze świeżych wymiocin zaścielał większą część mojego dywanu. W powietrzu unosił się zapach stęchłego HEINEKENA i czegoś jeszcze, co mi się dziwnie kojarzyło...

W łazience, w ogromnym, przykrytym grubym szkłem, akwarium, leżała Stella. Nie przypuszczałem, by ucieszyła się na mój widok. Miała brudne i pokrwawione futerko.

Nie pytałem co się stało. Wziąłem z kuchni, nie używanym tosterem, rozbiłem akwarium na kawałki. Stella nadal była cicha i nieruchoma. Zupełnie jakby nie żyła. Struchlałem na samą myśl. Wziąłem ją szybko na ręce, pobiegłem do pokoju i, tuż do niej (twarz, usiadłem na łóżku. Miałem ochotę się rozplakać... Zdarzyło mi się to po raz pierwszy od kilkunastu lat. Zamknąłem oczy, a kiedy je otworzyłem były same popłynęły po moich policzkach. Coś było nie tak. Czułem, że jeśli coś się zaraz nie wydarzy pójdę i uduszę Leszka, albo zrobię coś jeszcze bardziej gorszego. Anka weszła do pokoju i usiadła obok mnie.

- Obudził się - powiedziała ponuro, kładąc rękę na moim ramieniu.

Nie odpowiedziałem. Czułem, że Stella też coś do mnie mówi, ale nie potrafiłem otworzyć się na jej słowa. Siostra wstała i ukłękła naprzeciw moich kolan.

- Ona krwawi - powiedziała i spojrzała na mnie bezradnie - Co jej zrobił ten cholerny głupek?

- Dobrze, że ją odnalazł...

- Dobrze??? Widzisz, jak ona wygląda? Ona umiera.

- Nie!

- Skąd wiesz?

- Wiem... Park nie pozwoli, żeby umarła.

- Mówisz o nim, jak o jakimś bogu...

- W takim razie, wierzysz w to tylko ty!

- A ty?

- Co 'A ty' ?
- Nie wierzysz w niego, nie kochasz go?

Minęła dłuższa chwila, zanim odpowiedziała. Zanurzyła palce w miękkie futerko Stelli i szepnęła niedosłyszalnie.

- ... Kocham ...

- ... I on na pewno o tym wie! Po co mu tłumy wierznych? On ma nas i nie musi bać się, że odwrócimy się od niego, bo on zawsze był i będzie z nami.

- Jesteś pewien, że zawsze?

- Chciałbym ...

- Chciałbyś?!? A co z nim będzie, kiedy stąd wyjdziemy... albo umrzemy?

- A co było, kiedy nie było nas? On tu jest przecież od wieków, prawda?

- Tato na pewno by wiedział ...

- Co?

- Jak stary jest nasz Park.

- Nawet nie chciał tam chodzić, pamiętasz? Nigdy nie miał czasu, wolał wyszukiwać sobie najbardziej absurdalne zajęcia, byleby tylko nie pójść tam z nami. Chociaż nigdy w życiu nie przekroczył nawet furtki.

- Nie mów tak o ojcu! Nie krzycz!

- On nie słyszy. Jest trupem od kilkunastu lat.

- Nie!

- Co 'Nie'?

- On jest cały czas z nimi i będzie do końca i nigdy nie wybaczy nam, tego co robimy.

- A co robimy?

- Kochamy się - powiedziała po dłuższym wahaniu - Prawda?

- Nie, ja kocham ją - wskazałem Stellę.

- Wydaje ci się. Jesteś nią po prostu zafascynowany. Ona cię zadziwia, jest czymś, czego nigdy nie widziałeś, czymś co podnieca twoją ciekawość, ale to nie jest to samo, co czujesz do mnie.

- Skąd wiesz, że w ogóle coś czuję do ciebie?

Zaczęła się śmiać.

- Boże, jakis ty głupi - powiedziała wstając z podłogi - Ja bym miała tego nie wiedzieć? Ja???

Kiedy wyszła, zostałem sam z przedziwnie skołowanym wyrazem twarzy. Wtedy usłyszałem jej krzyk. Potem głuchy łoskot, potem znowu krzyk i jeszcze jeden. Domysliłem się. To działo się w pokoju, gdzie był

Leszek. Pobiegłem tam.

Oboje leżeli na podłodze. Anka próbowała wydostać się spod jego zarzyganego ciała, on natomiast, trzymając jedną ręką jej dłoń nad głową, drugą próbował zerwać z niej bluzkę. Kiedy mu się to udało, zabrał się do spodni.

Uderzyłem go w głowę, nie pamiętam już, czym. Stęknął głucho, walnął Ankę w żołądek, wstał, chwilię na mnie patrzył, podczas gdy ona wiała się, nie mogąc złapać tchu, po czym chwycił mnie mocno za gardło i pchnął w kąt między regałem a ścianą. Runąłem w stos pustych butelek po HEINEKENIE. Poczulem krew na ustach i na czole. Usiłowałem niezgrabnie podnieść się, lecz efekt był taki, że padłem z powrotem, rozcinając dodatkowo policzek i brew.

Anka znowu krzyczała.

Kiedy wreszcie, za którymś razem, udało mi się wydostać z pułapki, on klęczał nad jej twarzą, przyciskał jej ręce kolanami do podłogi i onanizował się. Chwyciłem go za włosy i mocno szarpnąłem do tyłu. Krzyknął cicho, niepewnie. Zaskoczyłem go. Podniosłem szybko jeden ze stłuczonych HEINEKENOW i skoczyłem wbiłając mu go w brzuch. Tym razem krzyknął głośno, rozpaczliwie. Wyrwał sobie butelkę i zaciskał palce na ranie, jęcząc jak dziecko. Chciał się podnieść, ale ja nie mogłem mu na to pozwolić. Usiadłem ciężko na jego biodrach, chwyciłem za dłoń i przycisnąłem do podłogi, jak tylko mogłem najmocniej.

- Stella...! - krzyknął, próbując się wyswobodzić - Stella...! Jezu, to boli! Anka podpełzała do niego z grubą poduszką zdjętą z kanapy, położyła mu ją na twarzy i usiadła na niej okrakiem, stawiając obie stopy na jego piersiach. Nie wierzył długo, mimo że dwoił się w tym celu i troił. To dobrze...

PRESENT

Idziemy już kilka godzin. Park ciągle otacza nas ze wszystkich stron swymi starymi jak świat, przepięknymi, niesmiertelnymi drzewami i maksymalnie gęstymi zaroślami. Księżyc, nasz nowy, trupio

blady przyjaciel, prześwieca nieśmiało pomiędzy liśćmi. Robi się zimno.

Pozostawiliśmy Leszka daleko za sobą, ukrytego w niewielkim, zarośniętym forsycją zagłębieniu. Leży tam całkowicie niewidoczny, ale minie jeszcze trochę czasu, zanim całkowicie zmisza się z otoczeniem...

... A my? Stella nie wie, jak daleko jest jeszcze do pokoju, ale czy to ma jeszcze jakiś sens. Anka, ma wrażenie, że nie dojdziemy tam nigdy, a ja obawiam się... właściwie jestem tego pewien, choć dałbym wszystko, by móc się mylić...

Anka ma chyba rację, trudno mi się z tym pogodzić, ale niestety jednym jestem pewien: czuję się coraz bardziej zmęczony...



Upadły
szatan, kłam,
mira i papieros

TOMEK JUNE 85

UMARLEY

RYSUNKI: TOMEK
SCENARIUSZ
I REŻYSERIA: TOMEK
W OPARCIU O TEXT UMAR
GEORGE SA BATAILLE
W "HISTORIA OKA I INNE HISTORIE"

I. MARIA ZOSTAJE SAMA Z UMARLEM EDWARDEM.



2
NAGIE PIERSI MARIÍ WZNOŚYŁY SIĘ KU ŚWIATYNI MARZENIA. ODCZYTAŁA JĄ MYŚL, ŻE NIC NIE DA SIĘ JUŻ NAPRAWIĆ. STAŁA PRZY UMARŁYM, NIEOBECNA, W DŁUGOTRWAŁEJ I PRZYGNĘBIĄCEJ EXTAZIE.

EDWARD, UMILANĄC, PROSIŁ JĄ ŻEBY SIĘ ROZBIEGAŁA. NIE ZADYCHAŁA NA CZUJ! NIE WIDZIAŁA JUŻ SWOJĄ SIĘBIE MORTALNĄ, ALE CIĘŻYŁA JĄ, JĄ BEZMĄDZIECZĄ.

II. MARIA WYCHODZI NAGO Z DOMU.

ZBLIŻAŁ SIĘ CZAS, BY ZANEGOWAĆ PRAWA, KTÓRYM PODPORZĄDKOWUJE NAS STRACH.

MARIA SZALONA I NAGA WYBIEGŁA WPROST NA DESZCZ!!!

A TO ZAMGOCI I OKROPNOCI

3
SPIĘWAŁA SZALONYM GŁOSEM

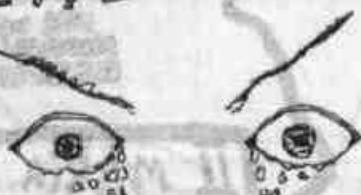
III. MARIA WYCZEKUJE PRZED SZYNKIEM



GŁOS KTÓRY DOBIEGAŁ Z SZYNKU BYŁ WSTRZASAJĄCY

MARIA

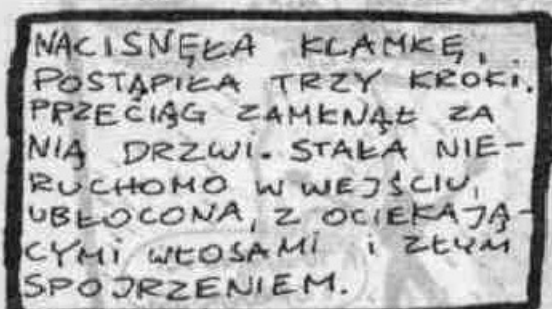
SZŁOCHAJĄ



W MROKU.

PLAKAJĄ NAD SWĄ NIEMOCĄ.

IV. MARIA WKRACZA DO SZYNKU

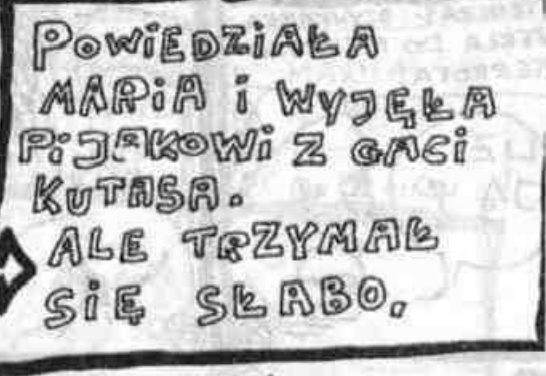


V. MARIA PIJE Z PAROBKIEM





VI MARIA WYJMUJE PIJAKOWI KUTASA



VII. MARIA TĄNCZY Z PIERROTEM.



VIII MARIA PIJANA PADA TRUPEM.



IX MARIA CHCE MÓWIĆ.

PAROBKI DZIWKI I SZYNKARKA, OTACZAJĄCY KRĘGIEM MARIĘ, WYCZEKIWALI CO POWIE.



X MARIA JEST LIZANA PRZEZ PIERROTA.



XI MARIA CAŁUJE SZYNKARKĘ W USTA.

JĘZYK PIERROTA, KTÓRY
JĄ MOCZYŁ, WYDAWAŁ JEJ
SIĘ CHEŁDEM ŚMIERCI. WDOYCHAŁA TEN CHEŁD PEŁNĄ
PIERSIĄ. PRZYCIĄGNĘŁA GŁOWĘ SZYNKARKI,
OTWIERAJĄC - JAK PROCHNICA - ZARŁOCZNĄ
OTCHŁAN JEJ WARG.



XII. MARIA PIJE Z GWINTA

MARIA ODEPCHNĘŁA
SZYNKARKĘ, KAPAŁA
SIĘ W ŚWIETLE
SMIERCI.

PERROT LIZAŁ
DĄ DO
UTRATY
T C H U



SKWAPLIWA SZYNKARKA
POCALA BUTELKĘ,
MARIA PRZYWARÇA DO
NIEJ I OPRÓŻNIŁA
DO
DNA.



XIII. MARIA SZCZYTUJE.

UDA MARII MŁOŚCIŁY POWIETRZE.
OCZY MIAŁA CAŁY CZAS
OTWARTE W EXTAZIE. WIATR, WICHER, WICHURA NA ZEWNĄTRZ
WŚCIEKAŁA SIĘ. NARAZ DRZWI OTWARZY SIĘ NA OŚCIERZ,
DO SZYNKU WPAROWAŁA BURZA.



EDWARDZIE!

WYKRZYKNĘŁA MARIA,
LE CZ TRWOGA W JEJ
GŁOSIE BYŁA TYLKO
DOPEŁNIENIEM WICHERU

XIV. MARIA SPOTYKA KARŁA.

ZE ZŁOWROGIEJ NOCY
WYŁONIE SIĘ MĘZCZYŻNA



SZYBKO
PANIE HRABIO.
PROSZE, WEJŚĆ



POZWOLI
PANI?

ZAPYTAŁ HRABIA
PRZYSIADAJĄC
SIE



XV. MARIA WIDZI ZJAWĘ EDWARDA.

MARIA TRWAŁA W BEZRUCHU PRZYGLĄDAJĄC SIĘ HRABIEMU



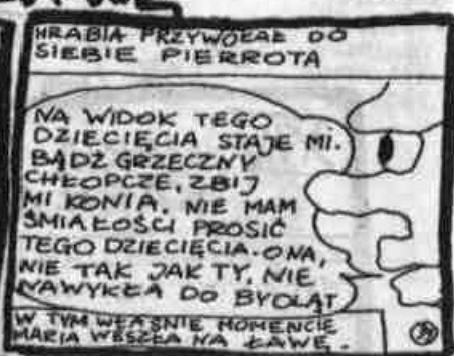
DO MARII DOSIADŁA SIĘ SZYNKARKA. MARIA NIE SPUSZCZAŁA HRABIEGO Z OCZU



POTEM WZIEŁA JĄ ZA RĘKĘ, UGRYZŁA



XVI. MARIA WCHODZI NA KAWĘ



XVII. MARIA SIKA NA HRABIEMO.



HRABIA POCZERWIENTAŁ,
ZALAŁA GO URyna. RZĘZIE
I SMIESZNIIE, OD STOP DO GŁOW
PODSKAKIWAŁ. PIERROT BRANZLO-
WAŁ JAK ZAPAMIĘTAŁY
I CHUJ WYPLUŁ SMARKI
NA KAMIZELKĘ



42

XVIII. MARIA NAMASZCZA SIĘ MOCZEM

MARIA CIĄGLE SIEKAŁA NA STOLE, POŚROD
BUTELEK I SEKLANEK, NAMASZCZAŁA SIĘ
MOCZEM. OBLEWAŁA NOGI, DUPE, I TWARZ.

PATRZ!
JAKA JESTEM
PIEKNA.

43

SIEDZIAŁA W KUCKI,
Z PIZDĄ NA WYSOKOŚCI
POTWORA, AŻ TEN
OTWORZYŁ JE ZGROZY WARGI.



XIX. MARIA SPADA NA POTWORA

JEDNA Z NÓG POŚLIZGNEŁA SIĘ. — PIZDA UDERZYŁA
HRABIEGO W TWARZ. OBOJE ZWALILI SIĘ, WRZESZĄC
Z NIEWIARYGODNYM HAŁASEM.

XX. MARIA GRYZIE KUTASA HRABIEGO

NA PODŁODZE POWSTAŁO
OBRYDLIWE KŁĘBOWISKO
MARIA UGRZYŁA HRABIEGO
W KUTASA AŻ WRZASNAŁ.



PIERROT WYWRÓCIŁ JĄ NA
ZIEMIĘ. MARIA WYJĄKAŁA:



45

ZOSTAW
MNIĘ.

POTEM UCICHEŁA

NIE MOGŁA ZŁAPAĆ TĘCH, OLZY MIRA
ZAMKNIĘTE. OTWORZYŁA JE.

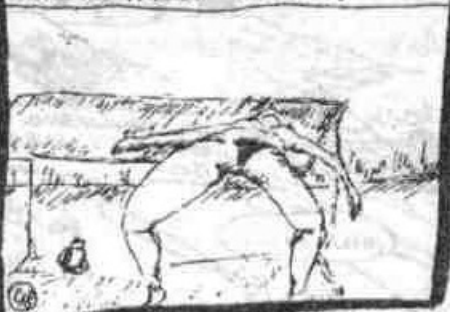


PIERDOL
MNIĘ.

POWIEDZIAŁA DO PIERROTA

XXI. MARIA JEST JEBANA PRZEZ PIERROTA

ZARZĄCNIŁO SIĘ WOKÓŁ OFIARY MARIA
ZUŁĄJ BEZWADNIE OPŁĘCIA
GŁOWE, ZARENOWANA PRZYGOTOWA-
NIAMI. A ONI JĄ POZCIĄGNELI.
ROZWARLI UDA.



SCENA ZE WZGLĘDU
NA JEJ POWOLNOŚĆ, PRZYWO-
DZIŁA NA MYŚL ŚLACHTO-
WANIE WIEPRZA LUB SKŁADA-
NIE BOGA DO GROBU.



MARIA NIETĘLA WŁĘ I SZEPKAŁA,
WALCZYŁA Z NIEWIARYGODNYM
NIEWARLIŚCIĄ

NO PIERROT!
PIERDOL
JĄ!

46

47

48

A ONI PRZYPATRYWALI SIĘ, ZE SPIELZONYMI WARGAMI, PRZERASTAŁA ICH TA FRENEZJA. CIAŁA ZŁĄCZONE JEDYNAK CIUJEM DIABROTA PULSOWAŁY W ZAWIĘYM TAŃCU ZADZY. NA KONIEC PAROBKEM BEZ TCHU, STEKNAŁ TŁCZĄC PANEJ, MARIA ODPOWIEDZIAŁA MU SPAZMEM ŚMIERCI.



50

XXII MARIA WYMIOTUJE.

HRABIA KŁĘCZAŁ NAD MARIĄ, W JEGO OCZACH MOGŁA WYCZYTAĆ JEDYNIĘ NATARCZYWOŚĆ ŚMIERCI.

ZWYMIOTOWAŁA PRZED KŁĘCZĄCYM POTWOREM



WIDZISZ?

ULZYŁO?

NIE DOKĄD PÓJDIEMY?

DO PANI.

51

XXIII MARIA SRA NA RZYGOWINY.



TAK. CZASEM MI MOWIŁO, ŻE JESTEM DIABEŁEM

DO MNIE! CZY JUŻ JESTEŚ DIABEŁEM, ŻE CHCESZ IŚĆ DO MNIE.

SRAM NA DIABŁA

PRZED CHWILĄ PANI RZYGAŁA.

BEDE, SŁAŁA

52

KUCNĘŁA I WYSZAŁA SIĘ NA RZYGOWINY, PODNIOŚŁA SIĘ, I ROZKŁĘCZONA, RUSZYŁA GWALTOWNIE KU HRABIEMU, SCHWYCIŁA GO ZA KOSCIERZ I KRZYKNĘŁA...



IDZIESZ!

Z CHĘCIĄ

LECI NA MNIE

ODDA MI SIĘ PANI

53

XXIV MARIA ZABIERA ZE SOBĄ HRABIEGO.

SZLI SZYBKO, KIEDY DOSZLI NASTAWAŁ DZIEŃ. MARIA WPROWADZIŁA HRABIEGO DO POKOJU

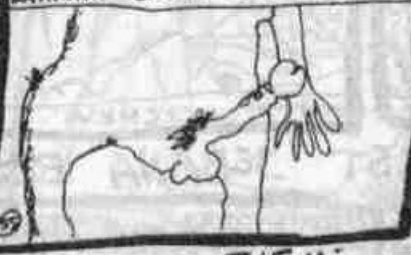


TO KONIEC. ROZBIERAJ SIĘ, CZERAM W SĄSIEDNIM POKOJU

54

HRABIA ROZEBRAŁ SIĘ BEZ POLPTECHU

HRABIEMU ŚNĄTEGO. KUTASA MIAŁ DŁUGIEGO I CZERWONAWEGO. GORSZ CIAŁO I TEN KUTAS BYŁ DIABELSKO SZPOTNY. GĘBWA WCIŚNIĘTA, W OKRĘGIE PANIONA BIELAŁA I SZYDZIŁA



MARIA ZMĘCZONA I NAGA CZĘKAŁA NA POKOJNOŚCIE



CZEGO PANI CHCE?

NIE WIEDZIACZK...

DOMYŚLAŁAM SIĘ

Z GRUPOY MÓJ, MARIA WYCIŚNĘTA W POKOJU WŁOŻYŁA DOZBIŁYŚ ANTYLĘ

V MARIA UMIERA I PODAJĄ DO ZIEMI

...WRESZCIE HRABIA DOSTRZEĞŁ DWA JADĄCE PO SOBIE KARAWANU, POWOLI ŚMIERZĄCĄ CE W STRONĘ CMENTARZA, GWIZONAŁ PRZEZ ZĘBY.



NIE ZAUGAŻYŁEM KANAŁU I WCIĘŁO GO.

MIAŁA MI...

GWALTOWNY HALEAS NA CHWILĘ ZAKŁOĆ MŁCZENIE WODY.

ZOSTAŁO SŁOŃCE.

1.

Zapatrzone w kamienie, których łagodność przypomina mój grząski brzuch tropikalny, przemierzam zwodnicze drogi, serpentyny mleka księżycowego. Gwiazd otacza mnie rój motyli, które bezlitośnie i nieubłagane pożerają się wzajemnie. Ich barwne skrzydła tworzą kopce wysokie jak wieże, i wszystko wokół wygląda jak porośnię radością. Ogromnie mnie bawi to żarłoczne okrucieństwo, u tych skądinąd łagodnych stworzeń. Potem długo spaceruję nadbrzeżem morza, uważnie obserwując wysmakowaną rywalizację fal. Woda zmusza mnie do śmiechu, swoim kazirodczym pluskaniem, powoduje że wpadam w nią. Znowu mam 15 lat. Wchodzę w życie onieśmielony i zdany na siebie, ulegam podszeptom, tego co nieznane i nowe. Słyszę: "Niemowlęta. Pomyśl o niemowlętach, wolno opiekanych na rożnie, które jeśli są dobrze wypieczone, pękają, z miłym dla ucha dźwiękiem tłuczonej porcelany." Nieznajoma mi, młoda dziewczyna, klęcząc rozczesuje włosy. Morduję ją, choć jej niewinność jest gęsta jak las.



LAS CIERPIENIA

2.

W pewnym momencie stwierdziłem, że zwariowałem. Nie namyślając się długo skoczyłem do morza, aby się porządnie utopić. Ale tam, cholera, też latały te pojebane motyle, pożerając się nawzajem. Głupio się zaśmiałem. Z obrzydzenia chciałem wyjść z powrotem. No, ale jak to bywa, nie udało mi się. Miałem 14 lat i moja dziewczyna była w ciąży. Ona jednak już nie urodzi tego dziecka. Jak już wspominałem wcześniej, zamordowałem ją, a z płodu zrobiłem pieczeń. Tak najedzony szybko poszedłem na dno. Ona zresztą była moja siostrą rodzoną. Wieś nas nie chciała, morze nas przyjęło. Tak, to była z całą pewnością droga serpentyny mleka księżycowego. Teraz wszystko nieznajome i nowe. Ale przynajmniej żadnych podszeptów. Chyba wyzdrowiałem.

A. B. Tison • R. Almaraz
14. VIII. 1992

UWAGA! DOPKACILI BY ICH WYDRUKOWAĆ.

STRONA LUDZI Z EKSKLUZYWA. (EKSKLUZYWA)

WYSOKA MAGIA

Tak np. czytamy w "Wielkiej Księdze Czarodziejskiej" albo w stanowiącym Jej przeciwieństwo - "Czerwonym Smoku" - receptę zatytułowaną: "Przygotowanie śmierci albo kamienia filozoficznego".

Jest to pewnego rodzaju nalewka dająca siłę, a przygotowana z takich składników jak miedź, arszenik, grynspan oraz "scheldowasser".

Podane tam zostały również sposoby zaklęcia zmarłych, które polegają na tym, że paznokciami rozkopuje się groby, wyciąga stamtąd kości, które skrzyżowane nosi się na piersiach; z tymi kośćmi idzie się do kościoła woła się na cały głos: "zmarli opuszczają swoje groby!". Potem powraca się znowu na cmentarz, bierze garść ziemi z najbliższego sąsiedztwa trumny, biegnie z powrotem do drzwi kościoła, w którym swoim poprzednim krzykiem wywołało się już strach, kładzie się dwie skrzyżowane kości, wołając ponownie: "zmarli opuszczają swoje groby!". Jeżeli wtedy jeszcze nie zostało się zaaresztowanym i umieszczonym w domu wariatów, to oddala się powoli od kościoła licząc 4500 kroków i idąc przed siebie bez odwracania się, tak jakby szło się długą ulicą albo wstępowało na mury. Na końcu tej drogi należy położyć się na ziemi, posypując ją przedtem ziemią przyniesioną w garści z cmentarza i sypląc w formie krzyża, kładzie się na ziemi tak jak w trumnie i jeszcze raz powtarza się głuchym, grobowym głosem: "zmarli opuszczają swoje groby", następnie trzykrotnie wzywa się ducha tej osoby, którą chce się widzieć. Bez wątpienia taki obłąkany i perwersyjny eksperymentator jest w wystarczającej mierze predysponowany do wszelkich urojeń i fantomów.

Recepta "Wielkiej Księgi Czarodziejskiej" jest więc z całą pewnością bardzo skuteczna, ale absolutnie nie radzimy naszym czytelnikom tego rodzaju praktyk.



INSTRUKCJĄ KORZYSTANIA Z UBIKACJI

1. Ubikacja powinna być zawsze utrzymana w czystości.
2. Do muszli klozetowych i pisuarów nie należy wrzucać śmieci, niedopałków, zapalek ani resztek jedzenia.

3. Na muszle klozetowa nie należy wchodzić nogami, lecz siadać na niej jak na krześle, tak aby pośladki całkowicie i dokładnie przylegały do deski klozetowej. Tułów powinien być wyprostowany, przy czym punkt ciężkości należy przenieść ze stop na pośladki, kładąc ręce wzdłuż odpowiednich kolan. Siedzieć należy w taki sposób, ażeby kał wpadał do muszli a nie na deskę. Jednocześnie należy starać się nie zamoczyć deski moczem, w tym celu należy przytrzymać ręką narząd moczowy, skierowując go do muszli.

4. Przy korzystaniu z pisuaru należy podejść do niego jak najbliżej, nawet dotykając go lekko kolanami, pochylić się do przodu, wyjąć całkowicie narząd moczowy, lekko nachylić go w dół i oddać mocz aż do ostatniej kropli. Nie należy odchodzić od pisuaru przed zakończeniem oddawania moczu; rozbryzgiwać go po podłodze. W ten sposób podłoga wokół pisuaru będzie sucha!

MAŁA ULICZNIKA na brak wyobraźni narzekać nie może, lecz to co przeczytała w jednej ze sklepowych toalet wprawiło ją w stan permanentnego szoku. Zapomniała o dręczących ją potrzebach fizjologicznych i oddała się pasjonującej lekturze. A potem niezwłocznie postanowiła podzielić się tym z wami. Chciała też poznać autora (autorów) owego dziełka, aby zaproponować im współpracę, lecz niestety...



Marcin Wronski

Pasja według Marcina

ODŚLONA I TRUMNIARZ

Czwartek późnym popołudniem. Knajpa. STOLARZ I już prawie pijany, gdy wchodzi STOLARZE II i III. KNAJPIARZ stoi za kontuarem, opiera się pięścią pod brodę.

STOLARZ I na widok STOLARZA III: Trumniarz!

STOLARZ II do III: No, tego faceta nigdy nie trzeba długo szukać.

STOLARZ III do I: Prosiłem cię, żebyś tak do mnie nie mówił.

STOLARZ I: Trumniarz!

STOLARZ III rusza w jego stronę. Wygląda, że chce pobić I.

STOLARZ II powstrzymuje go: Zostaw, jest pijany. Na trzeźwo nigdy by tak nie powiedział.

STOLARZ III: On zawsze jest pijany! I robi krzyże.

STOLARZ I: I co, że krzyż?! Trumniarz!

STOLARZ III nachyla się nad nim: Jeśli zaraz...

STOLARZ II odciąga go na bok: Zostaw, jest pijany!

STOLARZ III: I co, że pijany?! On też robił trumny.

STOLARZ I: Ale zmańdrzałem. Trumniarz.

STOLARZ III znów rusza w jego stronę: Słuchaj no ty...!

KNAJPIARZ podchodzi: Panowie, panowie! Panowie chyba nie chcą się tu bić?

STOLARZ I: Nawet jeśli, zapłacimy.

KNAJPIARZ: Bardzo panów proszę. Nie chcę tu żołnierzy. Czasy takie obrzydliwe.

STOLARZ I demonstracyjnie głośno: A wiesz ty, kto to jest Jezus Chrystus?

KNAJPIARZ: Ależ, proszę pana! Ciszej, sza. Tu roi się od tajniaków.

STOLARZ I spuszcza głowę: Tak myślałem. Wiedziałem, że i ty wiesz. Niemal krzycząc: Jezus z Nazaretu jest czeladnikiem stolarskim jak każdy uczciwy człowiek! Kolejkę dla trzech.

KNAJPIARZ: A może lepiej... do domu?

STOLARZ I: Kolejkę dla czterech w takim razie.

KNAJPIARZ: Dla czterech?

STOLARZ I: Jak nie chcesz się napić, postawię Nazarejczykowi.

KNAJPIARZ odchodzi za kontuar.

STOLARZ II siada: Eee! On by z tobą nie pił.

STOLARZ I: On z każdym by wypił. Zadaje się z takim bydłem...

STOLARZ III siada: I dlatego ęle skończy.

STOLARZ II: Myślisz, że... Urywa.

KNAJPIARZ wraca z czterema kubkami: Na zdrowie! Wypija i wraca za kontuar.

STOLARZ I: Pewnie, że będzie zleconko. To zawsze tak się kończy.

Pamiętacie Barabasza?

STOLARZ III: Ja tam wolę nie pamiętać.

STOLARZ I: Trumniarz!

STOLARZ III: Krzyżnik!!!

STOLARZ I: O, obudził się nareszcie! A krzyżnik, krzyżnik, czemu



by nie? I co w tym takiego? Krzyż, głębie, to piękna rzecz, dzieło sztuki. Podpórka i poprzeczka. Myślisz, że to takie proste? Zbić dwie deski do kupy i już, tak? Gównu, krzyż ma głębie, każdy krzyż ma osobowość. Krzyż z jedną poprzeczką, z dwiema, z poprzeczką tu, albo i tam, wyżej, niżej, nadażasz? To nie jest jakaś tam skrzynka na trupa. Krzyż to symbol...

Zastanawia się, czego właściwie może to być symbol. Zresztą i tak nie wiesz, co to symbol!

STOLARZ II: Daj już spokój, bo idziemy.

STOLARZ I: A ty co, nogo od stołka?!

STOLARZ II uderza pięścią w stół: Nie czeplaj się moich stołków!

Myślisz, że co?! Że każdy idiota umiałby je robić? Jeden mój taboret stoi w kuchni u samego arcykapłana, głupku! Wiesz ty, co to jest prawdziwa precyzja? Taki wspomnik na przykład, rozumiesz - poprzeczka między...

STOLARZ I przerywa mu: Gównu! Jak ludzie trochę zmadrzeją, zupełnie przerzucą się na krzyże. Będą nimi sobie... ozdabiać ściany w sypialni.

STOLARZ II powoli wstaje: Taka poprzeczka powinna się krzyżować...

KNAJPIARZ podbiega: Czy naprawdę nie można rozmawiać o czymś innym niż krzyżowanie?! Nie możecie, cholera, pomówić o cenach, albo o żonie sąsiada?

STOLARZ I: Ja tylko chciałem powiedzieć, że krzyże są po prostu ładne.

KNAJPIARZ: A żona piekarza z naprzeciwka? Co, nieladna? Można więc chyba mówić i o żonie piekarza.

STOLARZ III szeptem do II: Nie wciągaj go w dyskusje o krzyżach. Widzisz, że pijany.

STOLARZ II j.w.: Chciałem zmienić temat, ale...

STOLARZ III głośno: Kolek!

STOLARZ II zrywa się: Co kolek? Co kolek? Trumniarz! Pospiesznie płaci i wybiega. To samo robi STOLARZ III.

STOLARZ I: A ja zostanę. Kolejka dla dwóch.

KNAJPIARZ: Ale ja już...

STOLARZ I: To poczekam na Nazarejczyka. ODSŁONA II

WYRWANY ZE SNU

Piątek z samego rana. Wnętrze sypialni prokuratora Judei

Poncjusza PIŁATA. PIŁAT śpi. Wchodzi CENTURION.

CENTURION cicho: Prokuratorze!

PIŁAT przebudzony: Tak? Co się stało? Gdzie księgi?

CENTURION: Księgi, prokuratorze? Są w libranium, jak zwykle.

PIŁAT budzi się już zupełnie: Nieważne, to był tylko sen. Sen o

księgach. Nieważne, chociaż... w życiu nie śniło mi się nic tak dziwnego. Mam teraz takie uczucie, jakbym musiał uważać na każdy

krok.

CENTURION: Jeśli rozkazesz, prokuratorze, znajdą się dodatkowi

strażnicy.

PIŁAT kpiąco: Strażnicy! Nic nie rozumiesz. Zresztą, czy możesz

zrozumieć? Ja sam nic z tego nie wiem, ale coś mi mówi, że

dzieją się rzeczy naprawdę ważne. Księgi, zwoje, więcej chyba

niż w bibliotece w Aleksandrii. Chciałem do nich zajrzeć.

wziąłem więc jakiś stary papirus... Tak, jak teraz - były słowa, znajome słowa, a jednak nic nie rozumiałem. Lecz mimo to widziałem koniec jednego, drugiego, jeszcze jakiegoś cesarstwa. Przyszłość. A potem sam już nie wiem. Czy ty też śnisz czasami?

CENTURION: Nie, prokuratorze.

PILAT: Nigdy?

CENTURION: Bardzo rzadko.

PILAT gwałtownie siada na łożu: Tak? A o czym? Powiedz.

CENTURION: O kobietach. A raz o tym, że wszyscy byli dobrzy.

Szedłem ulicą w Jerozolimie, a potem zobaczyłem szynk.

Wstąpiłem proszę o wino i o placek. Zjadłem, wypilem jeszcze

trochę, choć płacić, ale patrzę - nie mam sakiewki. "Ależ to nic

nie szkodzi, bracie" - mówi mi ten Żyd-szynkarz i wyobraź sobie,

prokuratorze, dał mi jeszcze jeden placek. Mówię mu, że niechcę,

nie jestem już głodny, a ten: "To daj głodnemu, jak go

spotkasz". Wyszedłem, idę ulicą - stragany, gwar, krzyk, patrzę-

kolo świątyni siedzi żebrak. "Człowieku - pytam go - czy jesteś

głodny?" "Jestem" "To weź ten placek, ja się już

najadłem" "Dziękuję ci, bracie" - powiedział mi ten żebrak.

PILAT: "Bracie"?! Nie uderzyłeś go?

CENTURION: Nie, prokuratorze. W moim śnie wszyscy byli

dobrzy.

PILAT: Dobrzy. I co dalej?

CENTURION: Właśnie! Ledwie odszedłem od żebraka, spotykam

kobietę. Właściwie to ona do mnie podeszła. Piękna kobieta.

Dziwka. "Czy kochasz mnie, bracie" - pyta, a ja nic. "Bo ja cię

kocham".

PILAT: I co? I co?

CENTURION: Nic. Obudziłem się.

PILAT: Byłeś smutny?

CENTURION: Smutny?

PILAT: Dlaczego nie? Ja jestem smutny. Wydaje mi się, że nie mogę ruszyć nogą, aby mnie nie obserwowano.

CENTURION: Ależ, prokuratorze, jeśli tylko rozkarzesz...! Czy kogoś podejrzewasz? Bo jeśli, to...

PILAT przerywa mu: Mówiłem przecież, że nie o to mi chodzi! Na mnie patrzą ludzie, których dziś jeszcze nie ma. Rozumiesz?

Otwieram księgę i słowo w słowo czytam naszą rozmowę. Każę ci potem zbadać, kto to napisał, ty oczywiście wysyłasz agentów.

Mija tydzień, drugi, a nikt nic nie wie. Naprawdę nie wie.

Przychodzisz więc do mnie i mówisz: "Prokuratorze, tego człowieka nikt nie zna. Jego w ogóle nie ma. On nigdzie nie

mieszka i z nikim się nie spotyka". Jednym słowem - jest we mnie

niepokój Achillesa i Hektora, Romusa i Romulusa, Herkulesa i pozostałych. Oni wiedzieli, że czynią rzeczy wielkie, że nie ma sposobu, by świat o tym zapomniał. A przecież ja jestem tylko

prokuratorem Judei!

CENTURION: Tylko?! Ależ prokuratorze...

PILAT przedrzeźnia: "Prokuratorze! Prokuratorze!" Procurator procurator est! Tu procurator es, procurator! Nie widzisz, jak jesteś śmieszny? Jacy obaj jesteśmy śmieszni? Czyż wszystko wokół nie jest śmieszne? Jeżeli słyszałeś o dziewięciu muzach,

wierz mi, że to bzdura. Klio i Talia to jedna osoba. Historia



nie istnieje, bo jest w istocie komedią. Gdyby ktoś, kto będzie żył za jakieś dwa tysiące lat mógł popatrzeć na nas, nie powstrzymałby się chyba od śmiechu. A wiesz, dlaczego? Urywa dla efektu. Bo jesteśmy ludźmi, chociaż Rzymianami. Nikt nie śmieje się z Herkulesa, a z nas będą się śmiać, będą szydzić. Uważaj na każdy krok, centurionie, oczy patrzą. Nie wiesz, co ze śniadaniem?

CENTURION zdziwiony mową PIŁATA; teraz oddycha z ulgą: Prokuratorze, są tu Annasz i Kajfasz, i tłum. Przyprawdzili jakiegoś człowieka.

PIŁAT: Na Jowisza, Annasz i Kajfasz przyprawdzili człowieka! Tyla porządnych ludzi umiera, albo ginie, a te dwa parchy...

Bogowie nie są wszechmocni! Zwleka się z łoża, powoli idzie za scenę. Annasz i Kajfasz! Która właściwie godzina? ODSŁONA III
KŁOPOTY

Podziemia pretorium, kantorek PISARZA. Światło mdłe. Przy stole siedzi PISARZ, na stołkach ŻOŁNIERZE I i II. Zza scenydobiegają śmiechy oprawców, jęki, okrzyki odległego tłumy.

PISARZ: Nazaret. Co to jest ten Nazaret?

ŻOŁNIERZ I: Miasto w Galilei. Podłe miasto Heroda Antypasa. Zadupie jednym słowem.

PISARZ: Chmm. Czyta: 17 Aprilis, w nawiasie: 14 nissan, 786 rok ab Urbe condita. Z rozkazu prokuratora Judei Poncjusza Piłata ubiczowan Jezus z miasta... Jak się pisze Nazaret? Przez te ha?

ŻOŁNIERZ I: Możliwe. To podłe miasto.

ŻOŁNIERZ II: Napisz przez samo te.

PISARZ: Przecież to szlag jasny może trafić! Dlaczego nie przynieśliście rozkazu na piśmie? Co to za nazwa ten Nazaret?

ŻOŁNIERZ I: Hebrajska. Ohydne są te hebrajskie nazwy. Nawet wymówić trudno.

PISARZ: Napiszę przez te ha. A może... Urywa.

ŻOŁNIERZ II: A czy to nie wszystko jedno? Przecież i tak wiadomo, o co chodzi.

Wchodzi ŻOŁNIERZ III, zdejmując helm, siada.

ŻOŁNIERZ III: Uwierzycie, on się podobno odgrażał, że weźmie i zburzy świątynię.

ŻOŁNIERZ I: I bardzo dobrze! Nie mogę patrzeć na tę nudę. Gdy człowiek pojedzie do Rzymu, od razu widać klasę. Nie tylko zniszczą świątynię, śmieje się, także i burdeli. A ten ich bóg, ten Jehowa! Co to za imię dla boga? Brzmi co najwyżej jak jakaś nazwa knajpy.

ŻOŁNIERZ II: Nie tak łatwo jest zburzyć świątynię. Można oblegać, oblegać i nic. A ten jeszcze mówił, że odbuduje ją w trzy dni.

ŻOŁNIERZ I: Nie powinno się zabijać szaleńców. To nieludzkie.

Ubiczować, wyrwać język, napiętnować i koniec. Do PISARZA:

Najlepiej rzucić monetą. Jak Cezar, to te ha. Albo odwrotnie.

ŻOŁNIERZ III: Albo zapytaj skazańca. To podobno dobry człowiek.

PISARZ: Nie będę gadał ze skazańcem.

ŻOŁNIERZ II: To skończ ten papier i idziemy.

ŻOŁNIERZ I: Dobra. Ja go zapytam. Wychodzi.

ŻOŁNIERZ III: Trochę szkoda tego faceta. Myślę, że jak na Żyda,

to był całkiem w porządku. Ładnie mówił. Miał dobry, donośny głos. Czy on nie był kiedyś aktorem, albo innym mówcą?

ŻOŁNIERZ II: Dlaczego ciągle mówisz: był. Jego tylko biczują. Wraca ŻOŁNIERZ I.

PISARZ: I jak? Przez te ha?

ŻOŁNIERZ I: Nie wiem. Już go zabrali.

ODSŁONA IV

ZLECENIE

Piątek przed południem. Wnętrze warsztatu STOLARZA I -

porozrzucane narzędzia, krzyże różnych rozmiarów, dzbany po winie. STOLARZ I siedzi na stołku, myśli. Wchodzi ŻOŁNIERZ I.

STOLARZ I podrywa się: Dzień dobry, panie oficerze.

ŻOŁNIERZ I: Dobry? Czy wy, Żydzi, musicie zawsze kłamać? Cóż widzisz dobrego?

STOLARZ I: Przyszedł klient, mimo że przeddzień święta. I to jaki klient! Czym mogę służyć panu oficerowi?

ŻOŁNIERZ I siada na stołku, wzdycha: Co za klimat! Trzy krzyże.

STOLARZ I: Tylko tr...? Niech pan oficer weźmie od razu dziesięć.

Hurtem taniej, a krzyż zawsze się przyda.

ŻOŁNIERZ I: Krzyż przydaje się tylko do jednego. Dzień wyjątkowo paskudny, a ty gadasz i gadasz. Zaraz! Nachyla się ku STOLARZOWI I. Ty nawet jesteś pijany!

STOLARZ I: Jestem, panie oficerze. Cóż zrobić?

ŻOŁNIERZ I nieco rozbawiony: Kłopoty?

STOLARZ I: Jakoś czuć śmiercią.

ŻOŁNIERZ I: Czy nie można, do cholery, pomówić o czymś innym?!

Od rana każdy gada o śmierci. No, ale w taką pogodę sam się

czuję, jakbym miał zaraz zdechnąć. Ile za sztukę?

STOLARZ I: Hurtem? Spuszczę po drachmie od krzyża.

ŻOŁNIERZ I wstaje: Człowieku, nie jestem tu dla przyjemności!

Potrzebne są trzy krzyże i ani jeden więcej.

STOLARZ I: W takim razie po pięć.

ŻOŁNIERZ I podnosi głos: Człowieku, czy nawet w taki upał musisz

się targować? Powiedz od razu, ile i niech to wreszcie skończy!

STOLARZ I: Dobrze, dziesięć za trzy.

ŻOŁNIERZ I: I tak drogo.

STOLARZ I: Taniej nie mogę. Krzyż to precyzyjna robota.

ŻOŁNIERZ I: Krzyż to dwie deski i tyle. Aby się kupy trzymało.

STOLARZ I: Pan raczy żartować, panie centurionie! Może dla tych

partaczy z przedmieścia krzyż to istotnie dwie deski, ale ja nie

robię byle czego. Krzyż to dzieło sztuki, proszę pana. Nawet

gdyby przestano krzyżować, ja i tak nie robiłbym niczego innego.

W całej Jerozolimie nie znajdzie pan lepszych krzyży. Ja robię

je tak, jakby miały wytrzymać wieczność.

ŻOŁNIERZ I w końcu płaci: To które zabrać?

STOLARZ I: Które pan uważa. Wszystkie są w najlepszym gatunku.

Te krzyże to moja historia, to poemat. Uwierzy pan, panie

centurionie, że czasami aż żal mi się z nimi rozstawać?

ŻOŁNIERZ I: Na bogów! Jacy wy tu wszyscy jesteście szaleni!

Służę już piąty rok w Jerozolimie i jeszcze nie widziałem

normalnego Żyda. Ten Nazare czyk, ty... Ja już mogę nawet



zrozumieć, że wierzycie w tego swojego Jehowę, jakby inni bogowie wcale nie istnieli, ale to coś więcej. Wy macie jakiegoś ogólnego szmergla. Zresztą kto normalny nazwałby miasto Jerozolimą, albo Nazaretem? Pokazuje palcem: Wezmę te trzy. Myślisz, że będą dobre?

STOLARZ I: Wszystkie moje krzyże będą dobre, panie.

Wchodzą ŻOŁNIERZ II i III. Wynoszą trzy krzyże.

ŻOŁNIERZ I: A tak w ogóle... Myślisz, że on rzeczywiście uzdrawiał?

STOLARZ I: Ludziom nie trzeba wiele. Myślę, że każdy potrafiłby się sam uzdrowić. Tylko nikomu nie chce się chcieć, panie oficerze.

ŻOŁNIERZ I: To część waszej religii?

STOLARZ I: Nie, panie. Ale jeśli człowiek całymi dniami zbija krzyże, to widzi więcej niż inni. Trochę tak jak grabarze, co już nawet własnej śmierci nie traktują w jakiś szczególny sposób. Jak pan będzie miał kiedyś wolną chwilę, to proszę sobie zrobić krzyż. Choćby maleńki. Sam pan zobaczy, ile spraw od razu się wyda zupełnie odmienionych.

ODSŁONA V

ZBIERA SIĘ NA BURZĘ

Piątek po południu. Wnętrze sypialni Poncjusza PIŁATA. PIŁAT ubrany, pólleży na łóżku, CENTURION spoczywa nieopodal na krześle. Piją wino.

PIŁAT: Ja sam nie wiem, co powinienem być zrobić. Mówiłem ci już rano o dziennej odpowiedzialności za czyny. Pomyślałem, że wobec tego nie powinienem robić niczego. Ja nie chciałem, ja nadal nie chcę, żeby ktokolwiek mnie łączył ze śmiercią jakiegoś Nazarejczyka. Należy, centurionie!

CENTURION nalewa mu: Tak jest.

PIŁAT: Sobie też należy. Co za klimat!

CENTURION: Zbiera się na burzę, prokuratorze.

PIŁAT: W Rzymie nawet deszcz jest inny. Potrafi zmyć brud, oczyścić ulice, także człowieka. Tam po ulewie znika cały kurz, a tu czuję go nadal, jest tylko wbity gdzieś głębiej. Jak gwoździe wszystko potrafi jedynie się zagłębiać. Czuję to taknamacalnie, jakbym to ja był właśnie krzyżowany. Czy wiesz, co mówił mi ten człowiek? Powiedziałem mu, że chcą go ukrzyżować, ale ja wolałbym, aby się bronił. On nic. Pytam, dlaczego nie odpowiada, może nie życzy sobie mówić z rzymskim prokuratorem. A ten: Nie miałbyś żadnej władzy nade mną, gdyby ci jej nie dano z góry. Dlatego większy grzech ma ten, który mnie wydał tobie.

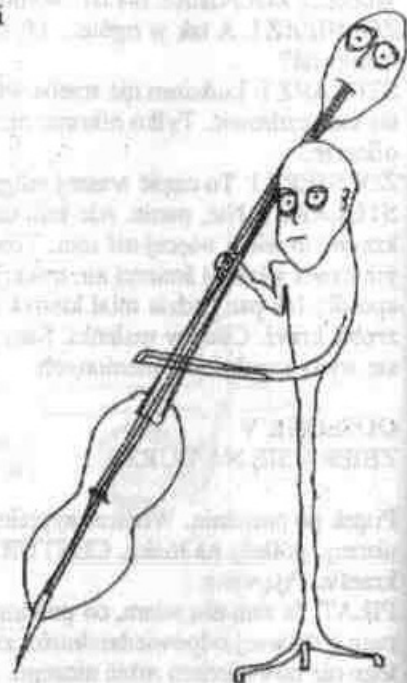
Bezczelność! Poczuję się zupełnie jak rano, po tym śnie o księgach. Słowa znam, a przecież nie rozumiem. Dlaczego nie nalewasz, centurionie?

CENTURION nalewa do obu pucharów.

PIŁAT: A skoro nie wiem, to nie powinienem chyba i niczego robić. Jednak pomyślałem, że każę go ubiczować. Wiem, teraz wszyscy pomyślą - Poncjusz Piłat chciał wzruszyć tłum. A widzisz centurionie, on mnie zwyczajnie zdenerwował. Co to znaczy, że nie miałbym władzy?! Ja ją mam i gdybym tylko zechciał... Należy!

CENTURION nalewa PIŁATOWI.
 PIŁAT: Sobie też. Pij, skoro ja piję.
 CENTURION nalewa także sobie: Tak jest, prokuratorze.
 PIŁAT: Lecz widzisz, to byłoby właśnie nieodpowiedzialne działanie. Obawiam się, że nawet ta chłosta była wysoce nie odpowiedzialna. Dotknąłem głazu, a on zrazu wolno, potem coraz szybciej zaczął się toczyć. Nikt z nas nie wie, gdzie upadnie, ani w co po drodze uderzy. Jednak jestem rzymskim prokuratorem i musiałem wydać jakiś rozkaz. Oddając go kłanialiom, stałem się... Urywa. A oczy patrzyły. Powiedz coś, centurionie!
 CENTURION: Co, prokuratorze?
 PIŁAT: Cokolwiek. Na przykład... o czym myślisz?
 CENTURION: O niczym. O czym rozkażesz, prokuratorze!
 PIŁAT: Skoro tak, myśl, że nic się nie stało. Jakiś Galilejczyk został stracony, choć niewykluczone, istotnie był synem któregoś boga.
 CENTURION nalewa Piłatowi: On jeszcze żyje, prokuratorze.
 PIŁAT: Żyje! To bzdura! Sobie też nalej. Wypija kilka tyków. Upijmy się jak po bitwie, chociaż nic się nie stało. Ja chyba nadal jestem w tym śnie o księgach! Żydzi porzucający majątki? Żyd wskrzeszający zmarłych, szalony Żyd i trędowaci! Powiedz, centurionie, czy ty wierzysz w bogów?
 CENTURION: Składam ofiary. Także Cesarowi.
 PIŁAT: Ale ja pytam naprawdę.
 CENTURION: Kiedy w środku bitwy zabijam, karzę, porażam pionunem. Nie widzę nawet, kogo mój miecz trafia i czuję się tak, jakbym to właśnie ja był bogiem. Bogiem jedynym na świecie. A ten człowiek...? On jest nikim, prokuratorze.
 PIŁAT: Ale może był dobrym człowiekiem?
 CENTURION: Jest szaleńcem, prokuratorze.
 PIŁAT: Nalej! Centurion nalewa. Szaleniec też może być dobry. Trzeba nawet być trochę szalonym, aby się na to zdecydować. Wolałbym ukrzyżować Annasza i Kajfasza, całą Jerozolimę niż tego... Jak mu tam?
 CENTURION: Jezus.
 PIŁAT:...niż tego Jezusa. Jezus! Co za imię?! Brzmi, jakby go wcale nie było. Bić zowaliśmy bezimiennego, centurionie! Za pięć, za dziesięć lat z trudem ktoś sobie przypomni.
 CENTURION: Jeszcze dzisiaj będzie po wszystkim.
 PIŁAT wzdycha: Duszno.
 CENTURION: Zbiera się na burzę.
 PIŁAT: Nalej, centurionie!
 CENTURION nalewa.

KONIEC



Wszystkich zainteresowanych dokonaniai Marcina informujemy, iż niedawno ukazała się jego pierwsza powieść, zatytułowana "Obsesyjny motyw babiego lata". Do nabycia u autora: MARCIN WRÓŃSKI, ŻARNOWIECKA 5/63, 20 - 630 LUBLIN lub poprzez MAŁĄ ULICZNICĘ.

- KRĘTE ŚCIEŻKI EWOLUCJI -

tekst i rysunki TOMEK

Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię. Potem rzec.



NIEK SIĘ ZAZIEMIENI ZIEMIA NOWA TRAWA.

i stworzył z ziemi wszelkie zwierzęta i ptaki na niebios.

Stworzył też Bóg człowieka - Kobieta i mężczyźni - rozmnażają się i czynią sobie ziemię poddaną.



Świat stworzony przez Boga nie był doskonały. Adam zresztą też. Świata brakowało go McDonaldsa, pepsi-coli, czotków, samolotów oraz innych tego typu rzeczy.



Adamowi nie chciał stawać.



i pomyślał Bóg

Dzisiaj mamy sobotę, idę do Szatana pić. Jutro będę miał kaca. Dokonałem w poniedziałek. A dużo mam zrobić.

i zmarł Bóg dnia siódmego na nerki bo za dużo wypił. Świat i Adama pozostawił samym sobie z ich problemami.

Tono Ewy wypalił ogień namiętności: żądzy. Adam - impotent nie mógł go ugasić.



AHHH CO Z TEBIE ZA CIECZ?

Na skraju Raju, w krzakach, mieszał matpison

i stało się! Swe dziewictwo Ewa oddała Józefowi.



Józef. Ku niemu, coraz częściej zaczynała wzdychać Ewa. Józef męski był okrutnie

MĘSKOŚĆ JOZEFOWA



AH, TAK NOŻE... CU... TKI!

Prawda o tym, że człowiek pochodzi od małpy odkrył dopiero Karol Darwin. Lecz jego odkrycie nie zostało dobrze przyjęte.



Na stos

KONIEC

Bartosz Muszyński

POMIĘDZY

Pomiędzy nic i nigdzie
Szkarlatny rośnie kwiat
Na stromym zrębie skalnym
To Ja

Pomiędzy tam i niewłem
Z hebanu brzoskwień kiść
Na horyzoncie złudzeń
To Ty

Pomiędzy mną a tobą
Nigdy nie powiem tak
Wypatruj gdzieś w oddali
On Znak

BEEINC/ for DRUIDS /
Ja-wojownik bezziemny
Nad bezziemem oceanu stoję.
Ja-bezsilny wobec wiatru
Wodospadom oddaję pokłon.
Ja-zwyczajna ludzka marność
W otchłan nocy się wpatruję.
Ja potężny bezcześciciel
Swoje dziedzictwo profanuję.
Ja-wyklęty przez umarłych
Pchany pasją ujarznienia.
Ja-niewielki choć potężny,
Bojaźliwy chociaż mężny.
Ja-mięniący się człowiekiem
Tak naprawdę jestem nikim.
W stronę grobu popychany,
A po śmierci nie-zapomniany.

ŻYWIOT ŚW. NIKOGO

Pasowe szaty i białe kości
Rozrzucone na tle
Majowego przedświt
W sprzedanej miłości
Podanej w pucharze
Z górskiego kryształu
I jadeitu

Pasowe szaty i białe kości
Na płaskim talerzu
Zwanym dalej Golgotą
W plastrach miodu złotego
W kobiercach z wrzosów
Poszukujesz przykryty
marności opoką

Pasowe szaty i białe kości
Towarzyszą od zarania
Aż po kresu widmo
Miał przyjąć psia
uległość
Można tylko upaść
i ulecieć w nicość

Powyższe formy poetyckie pochodzą z wydanego niedawno zbiorku poezji zatytułowanego "POMIĘDZY". Całość zawiera kilkanaście wierszy powstałych w latach 91-93. Wszyscy chcący dokładnie zapoznać się z tym wydawnictwem mogą to uczynić kontaktując się z autorem: BARTOSZ MUSZYŃSKI, GDAŃSKA 7B/7, 84-300 LĘBORK.



STORNI AK

Autobus z niepochamowaną zachłannością połykał piaszczyste przestrzenie. Można by o tym napisać setki bzdur - opisy krajobrazu, pogody, słońca, kaktusowych pól. Osobiście dla mnie najważniejszą rzeczą był mój pecherz, który w upalne dni wymagał specjalnej troski. Wdzieczny byłem kierowcy za każdy możliwy postój. Fundusze stypendialne nie pozwalały mi odbywać podróży w komfortowych warunkach. Pasażer siedzący obok zniecierpliwiał się oglądaniem malowniczego, acz nudnego krajobrazu za oknem, odwrócił twarz w moją stronę, a jego łokieć znalazł sobie wygodne miejsce w okolicy moich żeber.

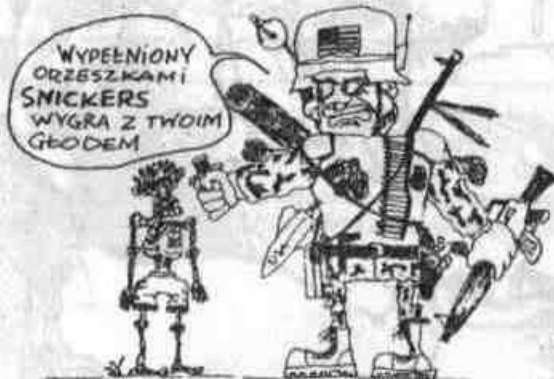
- Jesteś z Europy - prztaknąłem nie patrząc w jego stronę.

- To jesteś pleprzonym anarchista; wszyscy po tamtej stronie to pleprzeni ana - r - chiści - wycedził przez zęby, po czym rozejrzał się po twarzach współpasażerów, czekając na gesty wyrażające uznanie dla jego zdrowego amerykańskiego patriotyzmu. Nic takiego nie zauważył. Był spocony i śmierdział. Nie odzywałem się, nie musiałem. Zrobił to za mnie Murzyn, błyskając fleszem białych zębów wypełniających całą jego twarz.

- Chciałbym zniknąć, kurczę, po prostu zniknąć, zrobić się tyli - tu pokazał upragniony wzrost - tak by przejść przez ucho igielne i trafić do raju. Niestety nie jestem bogaty - dokończył ze śmiesznym grymasem na twarzy.

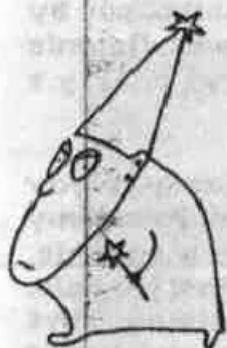
Cholera, co za kraj - pomyślałem, Wystarczy mieć trochę szmalu i można zostać krasnoludkiem.

"Witajcie w cudownym świecie WALTA DISNEYA". Uśmiechnąłem się, nie wiem sam do siebie, czy do Murzyna - Krasnoludka.



POEZJA
DEFLORACJA RZECZYWISTOŚCI
NASTAPIŁA POD WIECZÓR
HYMEN ZOSTAŁ PRZERWANY
HIPOTEZA BOGA
KTÓRA JEST GŁÓWNYM
INGREDIENTEM SZALEŃSTWA
NADSZARPNIĘTE NIEBO
WYDALIŁO KASZTANY
PERSPEKTYWA UCIEKŁA W GŁĄB
JUŻ JESIEŃ

TOMEK



BAJKA

Pewnego razu, pod korzeniami leżało pudełko. Wtem, a było to sroną śródową nocą, z pudełka wyszedł Wydrwiproszek. W czwartek rano wszyscy go już lubili, ale i tak pochwylił go zły czarownik Pumpernikiel.

- Mam cię! Będziesz mi teraz służyć, muchy od tłoków odganiać!

- Pierdol się, faszystowska świnię - odrzekł Wydrwiproszek, a taktu mu brakowało, bo niby skąd miał go mieć - wszyscy przecież dobrze wiemy, że wychowało go kartonowe pudełko.

Na te słowa padł Pumpernikiel i zczepił, a król dał Wydrwiproszkowi królestwo i pół królowny za żonę.

MYCHA I PRZEMEK

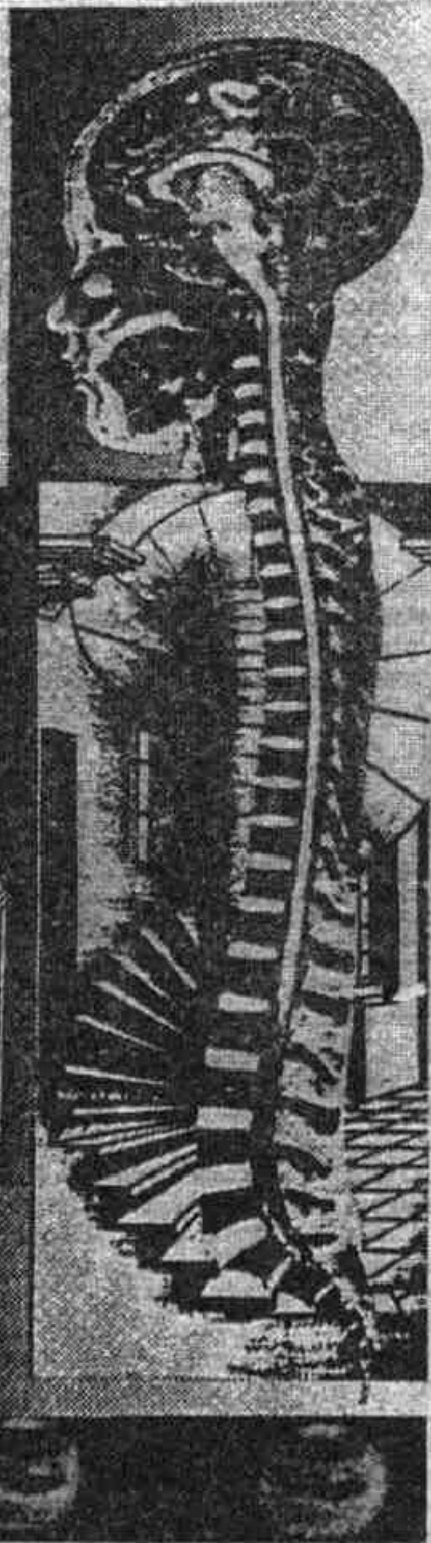
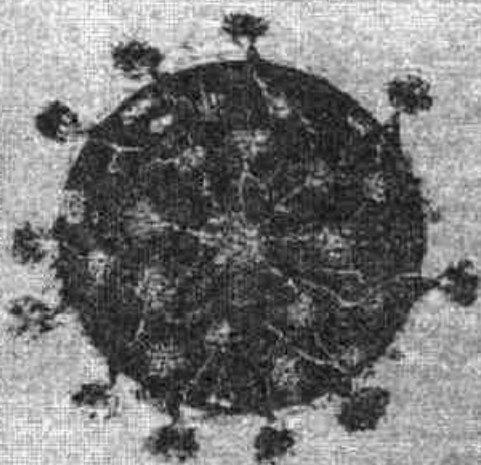
OSTATNIE TAKIE TANGO OSTATNIE TAKIE GÓWNO...

1. Kiedy wchodzę one zawsze tu są. Takie same, najlepsze. Wszystkie. I zawsze zostawiają po sobie czysto, nawet klapę od sedesu zamykają. A potem wchodzi. Jedna po drugiej. Pieszczą się i dotykają, tymi drobnymi paluszkami o długości amerykańskiego papierosa. Robią wrażenie wakacyjnej gorączki. Nieustannie jak motyle trzepią tymi usteczkami o rozstaniu na kiwnięcie palcem. Papuzie czubki, konstrukcje pierzaste, obłoczki, francuskie ciasteczka. To krew ziemi, grono matek, strumień nocy, poemat nocy, modliszki płci. Mokre od żurnalowego erotyzmu, zimne, przystrojone w ludzką skórę mrugają paznokciami o kolorze trupa. Gdyby nie jabłko, cóż by się działo z moimi oczyma i dłońmi. Kieruję się na was, Rzymie ognia! Paryskie niebo ograbione z koloru! Jak krzyż odarty z mięsa a gówno z ziemi. Kłó.

2. Miałem chyba ze trzynaście lat, graliśmy w karty, kiedy przyszła. Ściągnęła majtki, ale były one pełne gównien. Poszliśmy razem do altanki, tam w ogrodzie. Włożyła mi rękę w spodnie, głęboko. Wyciągnęła z obrzydzeniem upaprana w tłustym kale. Sledziliśmy tak do wieczora. Wieczór okazał się zimny, zbyt zimny jak na listopadowy Rzym. Poczuliśmy, że nadchodzi zagałada. Mróz ścinał rzadkie gówna w naszych majtkach, w różowe kwiatuszki. Już nie będzie takich różowych majteczek i nie będzie takich kwiatów. Wszystko odejdzie, wszystko zmieni się w skórę pokrywającą śmierć jabłek. Co za gówno, co za gówno! Trzynaście lat, tak mało żeby umierać, tak dużo żeby srać jeden drugiemu na głowę. Nasze majtki są zbyt piękne, żeby ściągać je eo wieczór i odsłaniać nasze tyłki na zimne promienie księżycy. Nie będziemy już srać, a być może przymarziliśmy do ławki. Złamała się igła.

3. A najlepiej to sledzić w mroku, bo cycki się wtedy nie ruszają, skulone w ciasnym biustonoszu. Zdemaskowana przeze mnie stoisz w czarnych pończotkach i uprawiamy przed telewizorem szplegostwo przemysłowe. Manekiny z wystaw onanizują się, blegając nago po pustym sklepie. Ona nabiera ochoty. Wkłada sobie w dupę pogrzebacz, kręcąc nim jak różnem w palenisku. Jestem nazarty, jestem zadowolony.

- No i chuj - mówię - Przecież cały tydzień niczego nie jadłem. Tańczymy tango, tango tańczy nami, a my robimy w majtki, czując zbliżający się koniec winylowej płyty. Ze wschodu idzie mróz.



ТОМЕК КЛИМЕК

Hans Plomp

Superman lub androgyne (Superman or androgyne)

Superman! Pojęcie to podnieca filozofa, teologa, biologa, mistyka, a właściwie każdego, kto czerpie satysfakcję z tzw. wyższych i głębszych aspektów życia.

Superman (rzadziej słyszymy o superwoman, super-kobiecie) jest przyszłym zadaniem ludzkości. Jest mutacją, której wszyscy się po przyszłości spodziewają, a niektórzy twierdzą, iż jest jedyną nadzieją ludzkości. Człowiek przemieniony w supermana, sbemensch, buddham sannyasin - oto kogo, zdaniem owych mędrców, oczekuje świat. Różne rodzaje duchownych, guru, filozofów wskazują drogę mającą wieść do tej mutacji - ktoś mówi: odrzuć ziemskie więzy; inny głosi: moc woli jest wszystkim; albo - "wiedza", "miłość", "dyscyplina", Jezus etc.

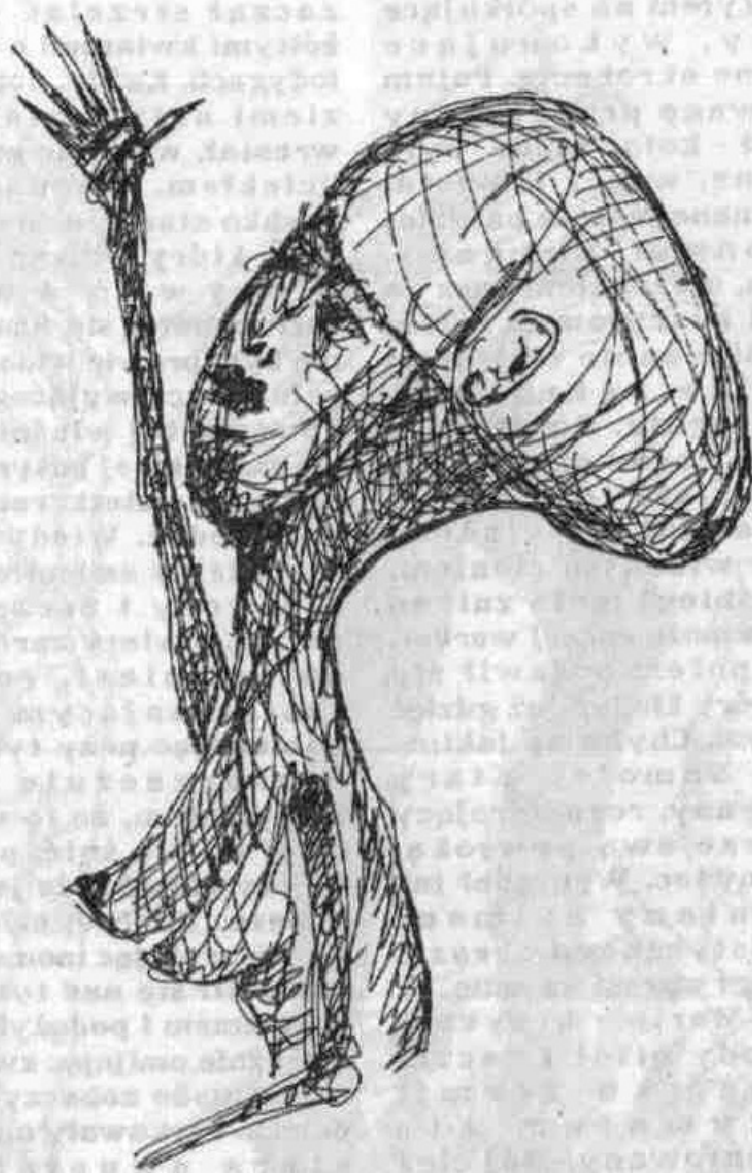
To tylko słowa, mające zająć nam umysły zagraniami bez pożytku. Rakiety lecące na skróty do mutacji. Jak słusznie spostrzegł Crowley: "Obecnie najgroźniejszym wrogiem ludzkości jest Choronzon, demon rozproszenia.". I rzeczywiście wielu poszukujących zostało odwiezionych od prawdziwej i prostej drogi do mutacji przez pułapki obiecujące wgląd, poznanie, miłość, szczęście, oświecenie. Nastawiono je na wszystkich poziomach i dla każdego rodzaju wieku: od żłobka do grobu, od fabryki do kościoła.

Miliony ludzi pościli, studiowały, modliły się, porzucały to wszystko, całymi wiekami żyły w celibacie - by mieć choć przeblysłk boskości. Kobiety marnowały się w zakonach, mężczyźni biczowali się lub czolgali na kłęczkach do Rzymu. Jednak żadnych super-ludzi wśród nich nie spostrzeżono. Nie wydaje się, by nastąpiła jakakolwiek mutacja. Wprawdzie niektórzy rościli sobie stopień supermana, lecz po pewnym czasie okazali się nikim innym jak tyranami, fanatykami, idiotami i wrogami kobiet.

Jednakże ludzkość jest na skraju mutacji, chociaż większość z nas nie dokona jej w obecnym życiu. Mutacja ta zajdzie w dziedzinie bardzo odległej od tej, na którą wskazują religijni i naukowcy przywódcy - zdarzy się w obrębie żeńskiej części naszej istoty.

Wystąpi na obszarze, którego racjoniści obawiają się najbardziej: mrocznym, przytłumianym, słabym, uczuciowym, nierzeczywistym, kobiecym. To ta część stanowi klucz do nadchodzącej mutacji ludzkości. Nadchodząca super-istota będzie nie fizycznym lecz psychicznym androgybem.

Kobiecość winna być odkryta i ujawniona, zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz. Jest do odkrycia cała żyła złota pełna możliwości i tajemnic. To zgubiona połowa ludzkości, zapomniana i tłumiona przez tysiąclecia. Nie osiągnie się żadnej mutacji przez rozwijanie stanu boskiego supermana - to tylko jedno z zagrań Choronzona. Zagubioną połową supermana nie jest bóg, lecz superkobieta. Cały pęd do super-ludzkiej boskości zwróconych ku mężczyźnie religij jest właściwie oszustwem wymyślonym dla



oddzielenia mężczyzny i kobiety oraz dla zapobieżenia prawdziwej mutacji, która pozbawiłaby zajęcia duchowych "przywódców". Stałmy się brakującą połową, mężo-kobieta, kobieto-mężem - tylko tak osiąga się tzw. "stan supermana", który w rzeczywistości jest mężo-kobiecnością. Grą właściwą Ziemi jest mienić się odcieniami przeciwieństw, a nie wynoszenie nad poziomy męskiego ego. Uff.

przeł. Lesław Borowski

Patrzyłem na spótkujące komary, wykonujące podniebne akrobacje. Potem moją uwagę przykuł inny szczegół - kolor nieba. Było czerwone, wręcz krwiste, poprzecinane jeszcze bardziej czerwonymi, smugami. Wstałem, otrzepałem kurz ze spodni i ruszyłem skrajem szosy. Starannie omijałem wszelkie pęknięcia, wyrzuczenia. Robiłem to szybciej, coraz szybciej. Z boku musiało to zapewne wyglądać jak opętańczy taniec z własnym cieniem. Nagle dobiegł mnie znikąd dźwięk, a może raczej warkot. Chwilę potem pojawił się obraz, który kiedyś już gdzieś widziałem. Chyba na jakimś filmie. Samolot. Stary, zdezelowany, rozdzierający powietrze swą powłoką, dwupłatowiec. Wyglądał jak zapomniany element surrealistycznego obrazu. Nadlatywał wprost na mnie.

- Witaj Mario - krzyknął rudobrody pilot i zaczął pikować ku ziemi. Zatrzymałem się zdezorientowany. Mój cień podążał jednak dalej. Samolot tymczasem był coraz niżej, zastaniał już większą część nieba, które natychmiast zmieniło barwę na żółcień. Nie byłem pewny czy chcę nadal żyć, stałem więc w miejscu. Pilot w ostatniej chwili poderwał maszynę do góry, śmiejąc się głośno.

- Żegnaj Mario - wrzasnął i

zaczął strzelać we mnie żółtymi kwiatami o twardych łodygach. Każdy, dotknąwszy ziemi natychmiast w nią wrastał, wydając głośny jęk. Uciekłem. Biegając bardzo szybko starałem się dopędzić cień, który widząc to zaczął wyrwać kwiaty. Zatrzymałem się. Samolotu już nie było prawie widać. Pędził z pełną mocą wyjącego silnika ku otwartej właśnie bramie nieba, z której posypały się w nadmiarze ulotki reklamujące wyprzedzą. Wtedy niebo po raz kolejny zmieniło kolor na czerwony i zaczął padać deszcz. Kwiaty zareagowały natychmiast, rosnąc w zastraszającym tempie, nabierając przy tym barwy bezsprzecznie żółtej. Pomyślałem, że to wszystko musi mi się śnić, ponieważ rzeczywistość nie jest aż tak prosta. Pochwyliłem cień, wykorzystując moment, kiedy zamyslił się nad tym samym problemem i podążyłem dalej, ostrożnie omijając kwiaty.

Lotnisko zobaczyłem już z daleka. Parkowały na nim dwa stare dwupłatowce, przypominające do złudzenia, aeroplan "mego przyjaciela" rudobrodzkiego. Przy wejściu na teren lądowiska na honorowym miejscu znajdowała się tablica informująca, że obcych o złych zamiarach nie wpuszcza się do krematorium oraz druga mówiąca o dokładnej



ilości ziaren zużytych do wyhodowania trawy gęsto porastającej plac. Przystudiowałem obydwie bardzo starannie i poszedłem dalej, słusznie przypuszczając, że zaraz powinno ukazać się miasto, na którego rogatkach został umieszczony tak poważny obiekt. Moje przewidywania znalazły potwierdzenie już za najbliższą chmurą, przysłaniającą swym cieniem fragment rzeczywistości. Miasto przywitało mnie zamierającym gwarem, który zamierał. Domysliłem się, że jest zapewne pora sjeisty. Aby nie łamac uświęconych wiekową tradycją obyczajów, postanowiłem także skorzystać z łaskawości snu, układając się wprost na chodniku pod budynkiem, który ze względu na nazwę, wziąłem za kino. Nazywało się "La cinema della miseria". Jednak mimo usilnych starań, sen nie przychodził. Leżąc studiowałem kinowe plakaty i, rzecz dziwna, na każdym widniała ta sama godzina projekcji. Zaciekawiony wszedłem do ciepłego wnętrza, chroniąc się tym samym przed padającym ciągle deszczem. Powitał mnie schłodnie wyglądający, młody mężczyzna o twarzy szakala.

- Pan szanowny do nas? - zapytał i uprzedzając moją odpowiedź dodał - Teraz panuje martwy sezon; jeśli chcesz pan obejrzeć filmy, musisz pan kupić przynajmniej

dwa bilety.

- Ale nie mam zbyt wiele pieniędzy.

- Nie szkodzi - wtrącił szybko - Podpiszesz mi pan zobowiązanie...

- Dobrze - i nie patrząc, machinalnie podpisałem podsunięty mi przed oczy kawałek papieru. Oczywiście dokonalem tego wykorzystując atrament niesympatyczny oraz posługując się fałszywym nazwiskiem. Kasjer wyglądał na szczęśliwego.

- Zapraszam do środka i życzę wielu przyjemnych wrażeń - mówiąc to wepchnął mnie do środka. Po omacku odnalazłem wolny fotel, który zaczął wirować i wtedy ujrzałem rozjarzone ekrany. Było ich kilkanaście i na każdym pojawił się inny obraz. Umiejscowione wokół mnie, stwarzały fantastyczny odbiór filmów. Nagle fotel zaczął wirować coraz szybciej, nie dając moim oczom czasu na dostrzeżenie czegokolwiek poza kolorowymi smugami.





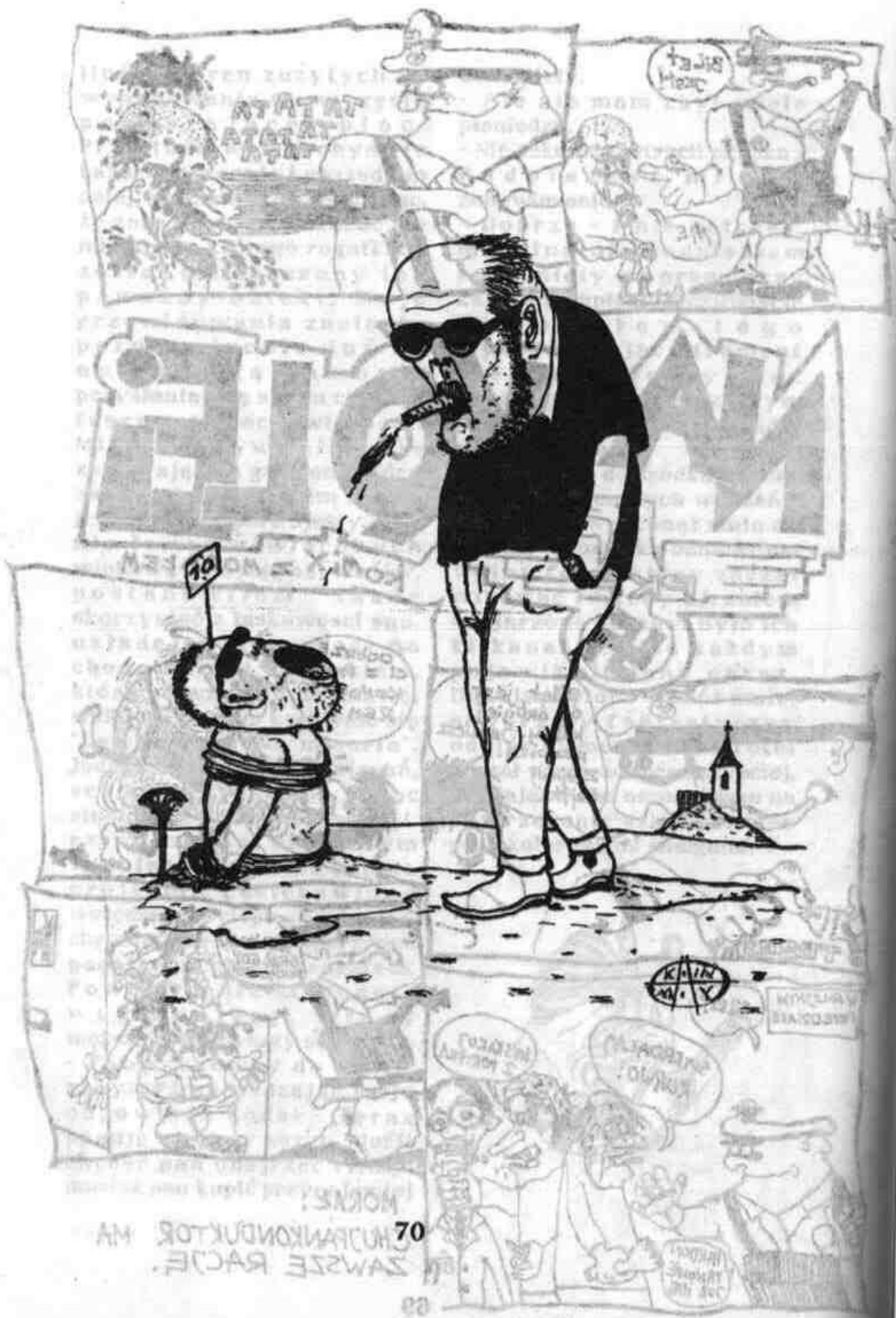
NA KOLEI

PKP

KOMIX Z MORAŁEM

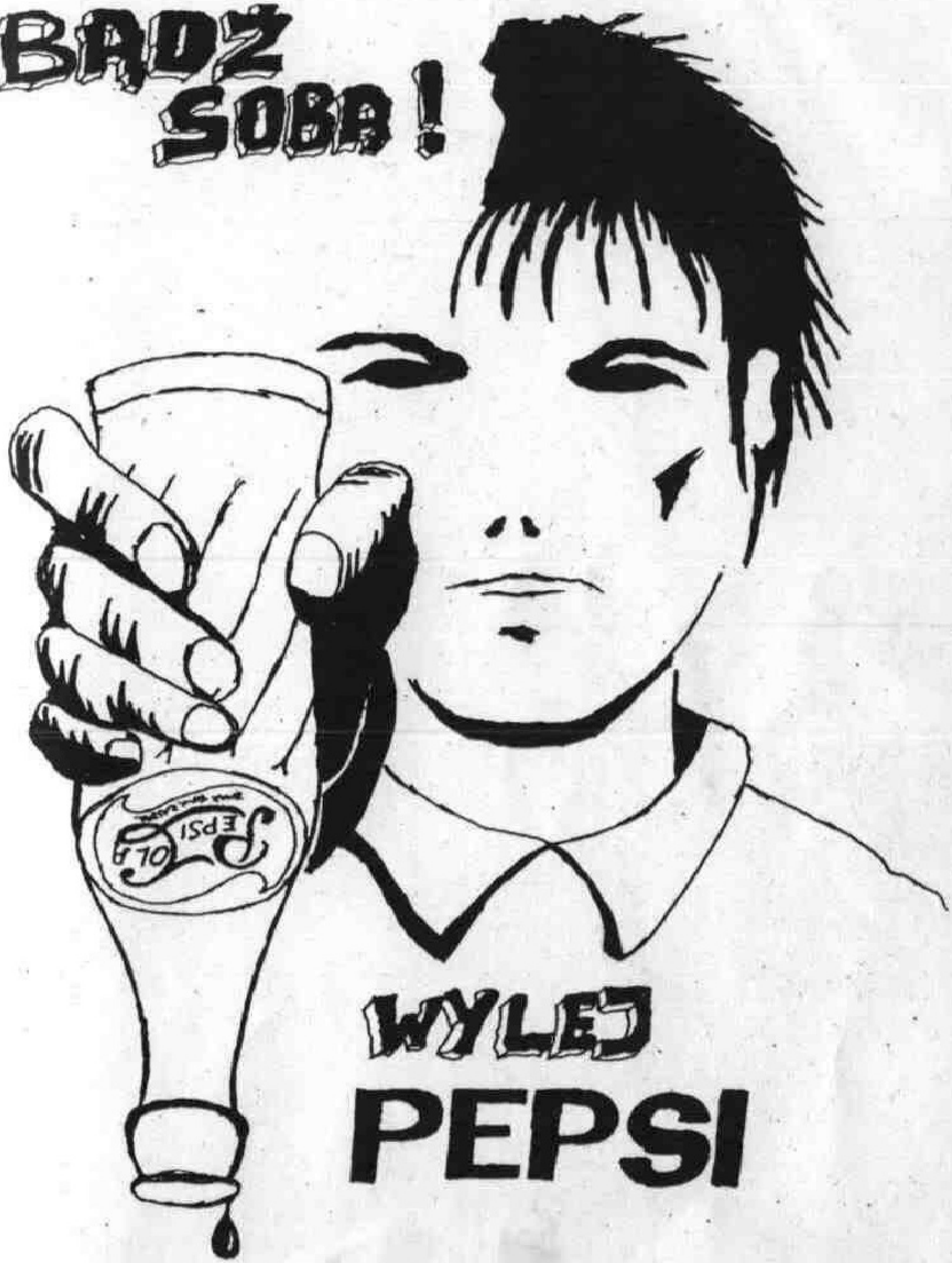


MORALE:
CHUJPAKONDUKTOR MA ZAWSZE RACJĘ.



ZAWISZE RACJE 70

**BADZ
SOBA!**



**WYLED
PEPSI**

